Nr. 165. Lwów — Czwartek dnia 22 Lipca. Rok 1897.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.
NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 zł 10 ct.
w Niemczech „ 2 „ 40 „
w innych państwach „ 3 „ — „
Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
[illegible]
Nadesłane na trzeciej stronicy:
[illegible]
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.
Ogłoszenia nadesłane płatne z góry.

Dziś: 22 | św. Maryi Magd. | SS. 45 Mucz.
Jutro: 23 | św. Apolinarego | Jewfymyi M.
Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.
Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.
Wschód słońca o 4 m. 28. Zachód „ „ 7 „ 40.
Długość dnia g. 15 m. 12. Ubyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 21 lipca.

Postawa, jaką zajmuje obecnie Turcya, zaczyna już drażnić Europę. Jedną bowiem niespodziankę po drugiej urządza sułtan mocarstwom. Najnowszą jest zamianowanie Dżewada baszy walim Krety i naczelnym dowódcą skoncentrowanych na tej wyspie wojsk tureckich. Nominacyi tej dokonał sułtan w największej tajemnicy, tak, że nietylko żaden z ambasadorów niczego domyślać się nie mógł, ale nawet dostojnicy Porty o zamiarach sułtana nie byli poprzednio poinformowani i jak zapewniają, dopiero z depesz przedłożonych przez zagranicznych korespondentów do cenzury dowiedzieli się o fakcie dokonanym. Co sułtana mogło skłonić do tego kroku, na razie jest zagadką, tem bardziej, że Dżewad basza od roku był w zupełnej niełasce. Był on już raz przed siedmiu laty walim na Krecie. Wtedy także srożyło się powstanie na tej wyspie, Dżewad jednak uśmierzył je nie tyle orężem, ile sprytnem i taktownem postępowaniem zarówno z mahometanami jak z chrześcijanami. Następnie był wielkim wezyrem i urząd ten piastował aż do lipca r. ubiegłego. Rzezie w Armenii były powodem jego dymisyi, której domagali się reprezentanci mocarstw, a najnatarczywiej ambasador angielski. Usunięty z najwyższego urzędu żył Dżewad basza przez cały rok w zupełnem zapomnieniu w swej posiadłości wiejskiej Niszantaż. Pobyt jego w tem ustroniu równał się prawie banicyi. Dom jego otoczony był szpiegami, którzy śledzili każdy krok jego, a nawet zabronili mu przechadzać się przed pałacykiem. Na dworze sułtańskim wolno mu było pokazywać się tylko raz w roku, w święto Bajramu, a i wtedy sułtan ignorował go. Naraz wydobywa sułtan tego męża z ukrycia, posyła doń umyślnego gońca i wzywa go, aby objął posterunek walego Krety, gdyż, jak dodaje, on jeden tylko potrafi jeszcze uratować tę wyspę.

Krok ten sułtana wprawił w pierwszej chwili sfery dyplomatyczne w prawdziwe osłupienie. Chociaż bowiem sułtan nominalnie jest jeszcze panem Krety, faktycznie jednak przeszła ona już pod wyłączną opiekę mocarstw, nikt zatem nie przypuszczał, aby sułtan odważył się nie zapytawszy rady ich w tak doniosłej sprawie. Wiele do myślenia dają także uwagi, jakie Dżewad basza wypowiedział co do swej misyi w rozmowie z pewnym dziennikarzem. Przypomniał on, że w tak samo trudnej sytuacyi rządził Kretą przez dwa lata i prawie bez rozlewu krwi uspokoił ją. „I teraz — rzekł — będę czynił wszystko możliwe, aby doprowadzić do jak najlepszego porozumienia między admirałami eskadr europejskich a mną i wskażę im najodpowiedniejszą drogę do pacyfikacyi wyspy. Raz przecież trzeba już chwycić się właściwych środków. Dotychczasowe dyspozycye nie wystarczają i jeżeli teraźniejszy stan jeszcze jakiś czas potrwa, wyspa będzie na zawsze zrujnowaną. Sto tysięcy Mahometan dusi się formalnie w miastach i nie ma z czego żyć, powstańcy zaś wewnątrz wyspy gospodarują w jak najlepsze, palą i mordują pomimo promenad, urządzanych przez wojsko międzynarodowe". Jestto zaiste bardzo surowa krytyka dotychczasowej działalności mocarstw. Powszechnie też wzięto nominacyę Dżewada baszy jako ponowny objaw naprężenia stosunków między Portą a Europą. Ambasadorowie zaprotestowali bezzłocznie przeciw tej nominacyi i zażądali jej cofnięcia. Tego dotychczas nie uzyskali, ale uzyskali bodaj to, że naznaczony na dziś odjazd Dżewada baszy na Kretę odroczono.

Klika intrygantów.

Zanotowaliśmy przed paru dniami z niedowierzaniem twierdzenie, że w Kole Polskiem jest klika ambitnych intrygantów, którzy kopią dołki pod Kazimierzem Badenim i starają się wszelkiemi środkami mu szkodzić. Twierdzenie to obiegło jednak europejską prasę, i wszędzie za granicą znalazło wiarę i wywołało zarazem uszczypliwe docinki i uwagi o charakterze Polaków. A wiarę znalazło dlatego, że prasa europejska, zwłaszcza niemiecka i francuska, jest nam bardzo nieżyczliwa i wszystko notuje co może nas poniżyć w opinii publicznej; zarazem nienawidząc gabinet hr. Badeniego, jako naznaczony silnie charakterem polskim, rada jest z tego, że może donieść, iż ma on nawet wśród Polaków wrogów.

Natomiast prasa polska kategorycznie zaprzecza tej insynuacyi, która Kołu Polskiemu w tak wysokim stopniu ubliża. *Dziennik Poznański* pisze naprzykład:

„Być może, że tu i owdzie między politykami polskimi postępowanie hr. Badeniego i jego rządu nie znajduje zupełnego uznania, że jednym jest on za nadto porywczym, dla drugich za mało stanowczym; ale stąd bynajmniej nie wynika, żeby mówić można *o krecie robocie*, podejmowanej przeciwko niemu przez ziomków, jak twierdzą gazety niemieckie. Zapewne one to odnoszą się do bezsilnych wywnętrzeń naszych zawsze niepoprawnych *tromtadratów*, którzy z fachu i z natury swej muszą być niezadowolonymi z każdego rządu. To też po za tą sferą, jak przypuszczamy, w kołach poważnych polityków nie może być mowy o frondzie przeciwko hr. Badeniemu, bo fronda taka byłaby najniewłaściwszą. Ministra, którejby wszystkim dogodził, nie znajdzie tak samo jak redaktora, ale ministra, który bądź co bądź z świadomością celu, energią i zaufaniem u korony stoi na eksponowanem stanowisku i prowadzi ciężką walkę z bezwzględnemi żywiołami, powinni popierać wszelkiemi sposobami wszyscy polscy rozsądni politycy i to popierać do upadłego. Krytyka służyć im będzie później; podczas akcyi wszystko stać powinno ramię do ramienia".

Równie kategorycznie zaprzecza temu jeden z członków Koła Polskiego w *Słowie Polskiem*. Oto co on pisze:

Od dłuższego czasu pojawia się w polskich niestety dziennikach, powtarzane skwapliwie przez nieprzychylną dla nas i dla obecnego gabinetu prasę, zdanie, jakoby jakaś klika intrygantów w Kole Polskiem dokładała wszelkich starań, aby podkopać stanowisko ministra prezydenta, hr. Badeniego. Czytaliśmy tę insynuacyę, czy też denuncyacyę jeszcze w czasie wiosennych posiedzeń Rady państwa, czytamy ją znowu w *Dzienniku Polskim*. Zdawaćby się mogło, że milczenie będzie najlepszą odpowiedzią na rzucanie takich niejasnych podejrzeń. Ale skoro rzecz powtarza się nieustannie, skoro sianie niechęci pomiędzy Kołem Polskiem a gabinetem wydaje się być systematyczną, z pewnym zamiarem prowadzoną robotą, przypomina się owo łacińskie zdanie: *Qui tacet, consentire videtur*. Dłużej zatem milczeć niepodobna.

Należy się stanowczo oświadczyć, że nie było w Kole Polskiem nikogo, któryby nie pragnął, aby się dzisiejszy minister prezydent, Polak, jak najdłużej utrzymał przy sterze. Wszyscy członkowie Koła Polskiego usiłowali usunąć z drogi hr. Badeniego kamienie urazy, których było bardzo wiele, a obrazą już nie dla charakteru, ale dla inteligencyi każdego posła przypuszczenie, aby mógł, jako Polak, spekulować na jakiekolwiek korzyści, mające wyniknąć, czy to dla niego osobiście, czy to dla kraju, albo narodu polskiego z upadku obecnego ministra prezydenta. Nikt przecie nie uwierzy, aby hr. Badeni żadnych w Kole Polskiem nie miał przyjaciół; niechże choć jeden poseł potwierdzi oskarżenia bezimienne, miotane przeciw niewymienianym zresztą członkom Koła i niech powie, na czem owa intryga zależała, przez co Koło Polskie „zagmatwało dzisiejszą sytuacyę i utrudniło i tak trudne zadanie ministra prezydenta" — a będzie można przynajmniej toczyć dyskusyę. Teraz można tylko stanowczo zaprotestować przeciw ponawianej systematycznie insynuacyi; stanowczo zaprzeczyć, aby w niej cokolwiek prawdy było.

Łączność Koła polskiego z rządem jakimkolwiek, albo z jakąkolwiek większością nie może iść tak daleko, aby się zapierało swoich zasad, swoich przekonań politycznych, albo interesów materyalnych, lub moralnych, czy to kraju, czy to narodu naszego. Ale nic takiego nie zaszło w czasie wiosennej sesyi, coby zmuszało Koło do zajęcia w Izbie stanowiska niezgodnego z rządem; i owszem Koło zgadzało się z czynami rządu, które wywołały burzę opozycyi centralistycznej i jak dotąd, nie było wypadku, aby Koło nie głosowało zgodnie z rządem. Nie spodziewamy się, aby kiedy miało być inaczej, znając hr. Badeniego, jego rozum, jego przywiązanie do kraju i jego znajomość spraw krajowych. Jeżeli sprawa nieudzielenia prawa publiczności polskiemu gimnazyum w Cieszynie bardzo boleśnie Koło polskie dotknęła, mniemamy, że to się stało wbrew woli ministra prezydenta i że to się wnet odstanie, skoro zdaje się, że minister prezydent wyszedł zwycięsko z napaści swoich przeciwników, że dzierży znów niezachwianie w ręku lejce rządów.

Jeśli się można czego dorozumieć z insynuacyi, systematycznie przeciw Kołu polskiemu miotanych, ową intrygą, podkopującą stanowisko ministra prezydenta miało być stworzenie autonomicznej większości w Radzie państwa. Byłoby rzeczą bardzo niewczesną i politycznie nieodrzeczną pisać teraz o zakulisowych dziejach powołania większości, z którychby się okazało najjawniej, jak bezpodstawną jest gadanina o tem, żeby ta większość była powstała na przekór obecnemu gabinetowi. Można jednak powiedzieć, że większość powstała w konsekwencyi naturalnej doniosłego czynu hr. Badeniego, wydania rozporządzeń językowych; wskutek tego czynu niemieckie stronnictwa centralistyczne zjednoczyły się w opozycyi, [illegible] ugrupowanie się teraźniejszych stronnictw w Radzie państwa, stało się rzeczą naturalną, a w dodatku rzeczą konieczną. Koło polskie przystąpiło do większości, ponieważ zgadzało się z jej autonomiczną zasadą i ponieważ wiedziało, że odosobnienie może interesa nasze narodowe na najcięższą szkodę narazić; ale także i dlatego przystąpiło do większości, ponieważ wiedziało na pewne, jaki gwałtowny atak na rząd nastąpi ze strony zjednoczonych stronnictw lewicy, zawsze posłusznej głosowi *Neue freie Presse* i wiedziało, że najumiarkowańsze żywioły centralistyczne, nie będą miały odwagi odłączyć się od żywiołów zapalczywych. Tylko większość, w której Koło polskie reprezentuje żywioł umiarkowany, w pewnem znaczeniu tego słowa bardziej bezinteresowny, bardziej pamiętający o potrzebach państwa i najbardziej hr. Badeniemu sprzyjający, mogła stać się podporą rządu i ochronić od upadku gabinet, którego losy są odtąd nierozdzielnie związane z losami rozporządzeń językowych. Koło, przystępując do tej większości, broniło rządu, a naraziło się na to, że nienawiść, którą ultra-Germani żywią dla ministra prezydenta przeszła także na Koło polskie. Mimo to Koło polskie nie żałuje tego, co uczyniło, postępując zgodnie ze swojem przekonaniem i z przekonaniem kraju, a w sposób dla państwa pożyteczny.

Gdyby dzisiaj hr. Badeni ustąpił, albo gdyby się większość rozbiła, byłoby to największą klęską dla monarchii, bo byłoby zwycięstwem mniejszości nad większością, tumultuarnej i nie przebierającej w środkach demagogii nad legalnością, parlamentaryzmem i poczuciem politycznej odpowiedzialności. Ale *Nowa Presse* i jej polityczna, po części pomimowolna służba, kuszą się dziś bardziej niż kiedykolwiek o takie zgubne dla państwa i dla wolności konstytucyjnej zwycięstwo. Obok jawnych ekscesów i w pewną powagę przyobleczonych opozycyjnych manifestacyi, posługują się także środkami podstępu i intrygi, a do nich należy wliczać ową insynuacyę, co do tajnych, przeciw gabinetowi wymierzonych knowań w łonie Koła polskiego, insynuacyę wymyśloną przez nieprzyjaciół wspólnych a najniebezpieczniejszych hr. Badeniego, Koła polskiego i owej większości, na której się dzisiejszy rząd jedynie oprzeć może. Dziwi to tylko i uraża boleśnie, że nawet poważne i niezawodnie hr. Badeniemu sprzyjające pisma polskie, idą na lep tych insynuacyi wymyślonych w Wiedniu przez drobniejszych satelitów *Nowej Pressy* błąkających się tam, gdzie służba polityczna najniższego rzędu przebywa.

Trzeba, żeby wszystkie uczciwe dzienniki polskie zdały sobie raz sprawę z tego, do czego doprowadzić może powtarzanie bezpodstawnej zgoła a niecnej plotki. Ci, którzy tę plotkę rozsiewają, są tak bezczelnie zręcznymi, że udają wielkich hr. Badeniego przyjaciół, nadają sobie pozory najzażylszych popleczników obecnego rządu, co więcej ludzi inspirowanych, pisarzy półurzędowych. Więc myślą, że zabiją dwie muchy odrazu; wzbudzą nieufność i żal hr. Badeniego do Koła polskiego i wzniecą w Kole polskiem uczucie pokrzywdzenia przez męża stanu, który Kołu nie ufa. A choć ci, którzy tę podstępną grę ułożyli, powinni wiedzieć, że mąż stanu, jakim jest minister prezydent odwróci się ze wzgardą od podrzędnych plotek i że posłowie polscy mają zanadto wiele rozumu politycznego, aby mogli uwierzyć, że te plotki powstają za wiedzą i zezwoleniem jakiegokolwiek ministra, nie mylą się autorowie zręcznej kabały, jeżeli sądzą, że bądź co bądź wyrządzą szkodę krajowi, Kołu polskiemu, większości i rządowi. Nie może być, aby część opinii publicznej w kraju nie została obałamuconą przez wciąż powtarzane oszczerstwo, a przeto powstaje u jednych nieufność dla Koła, u drugich nieufność dla hr. Badeniego, dwie rzeczy zarówno szkodliwe. A potem pewien osad gotów wreszcie pozostać z roboty szkodliwej nawet w duszy ministra, prezydenta i posłów polskich; zmyślając ustawicznie, że się nawzajem zwalczają, że sobie nawzajem nie ufają, myślą „nasi najserdeczniejsi", że przecie osłabią nareszcie ów poufny i serdeczny stosunek między Kołem i większością z jednej strony, a hr. Badenim z drugiej strony, bez których chyba trudno będzie się oprzeć przeciw zapędom bezwzględnej opozycyi.

Mniemam, że pisma polskie rozważywszy to, co tu napisano, przestaną powtarzać insynuacyę, mogącą wyjść jedynie na korzyść dzisiejszych obstrukcyonistów, którzy się zresztą z tem nie ukrywają, że jeśli im się uda obalić gabinet i rozbić większość dzisiejszą, zechcą także i w Galicyi germanizacyjne próby ponowić.

Spory wewnętrzne a polityka zagraniczna.

Piszą nam z Wiednia, 20 lipca:

Hr. Gołuchowski wyjechał na Semmering, aby odwiedzić bawiącego tam z rodziną p. Bülowa. Sam fakt, że zaledwo co powołany na urząd zastępcy sekretarza spraw zagranicznych, p. Bülow przybył do Wiednia, aby odnowić dawną znajomość z hr. Gołuchowskim i przedstawić się Cesarzowi, świadczy, że w stosunku dwóch państw sprzymierzonych nie nastała żadna zmiana i że dwór niemiecki pragnie to zaznaczyć wyraźnie. Niebawem cesarz niemiecki przybędzie na manewra w Węgrzech, razem z Cesarzem i królem Franciszkiem Józefem zwiedzi stolicę węgierską, poczem obaj monarchowie udadzą się na polowanie do rozległych dóbr arcyksięcia Fryderyka w pobliżu głośnego bitwą r. 1526 Mohacza. To wszystko jeszcze bardziej uwydatni niezakłóconą harmonię w stosunku dwóch cesarstw. Bo też zdrowa polityka wielkich mocarstw opiera się na chłodnem i trzeźwem odważaniu interesów, nie na uczuciowych popędach i deklamacyach. Pp. Schoenerer i Zimmerman nie są powołanymi reprezentantami narodu niemieckiego po obu stronach słupów granicznych.

Czytając dziś pewne szowinistyczne tyrady, przypominamy sobie zawsze hałaśliwą przed kilkunastu laty paryską *Revanche* p. Peyramonta. Naiwny czytelnik tego dziennika każdego dnia budził się z przekonaniem, że w nocy pułki wyruszyły do granicy, na wojnę. Z pewnością z dziennikiem p. Peyramonta nie znikł z widowni szowinizm. Grasuje on po obu stronach Wogezów. Pomimo tego odpowiedzialni kierownicy państw, tu i tam, starannie unikają zmierzenia sił na pobojowisku. Zawikłania na Wschodzie, które się rozpoczęły przewrotem w Bułgaryi r. 1886, aż nadto wygodnej sposobności dostarczały tym, którzy — szukają *casum belli*. Ale go widocznie nikt nie szuka, owszem wszystkie rządy starannie tego unikają. Szowinizm musi się zadowolić trybuną dziennikarską, sporadycznie wybucha na trybunie parlamentarnej, ale nie wprawia w ruch wojsk.

I nie rozluźnia także starych sojuszów, opartych na realnych interesach państwowych. Niezawodnie obecnie agitacya w Niemczech na tle spraw austryackich przybrała namiętniejsze rozmiary, niż w pierwszych latach rządów Taaffego i podczas krótkich rządów hr. Hohenwarta. Prasa niemiecka gwałtownie „popiera" opozycyę niemiecką w Austryi. Jeżeli ukaże się w którym z dzienników niemieckich artykuł, napominający do umiarkowania, jak niedawno temu w *Hamburger Nachrichten*, to niebawem dziennik taki, aby okazać swą prawowierność szowinistyczną, ogłasza jakoby celem sprostowania, tem namiętniejszą filipikę in usum *Ostdeutsche Zeitung*. Nie dość na tych zabawkach dziennikarskich, cała stara gwardya profesorów wszechnic niemieckich, począwszy od Mommsena i Virchowa aż do znanych szowinistów Dahna i Onckena, wystąpiła z manifestem solidarności niemieckiej i zapewnieniem gorących sympatyi dla „uciskanych" w Austryi Niemców! Nie poruszamy pytania, czy rząd niemiecki nie mógł wpłynąć drogą poufną na tych panów, aby ich powstrzymać od tej demonstracyi? Jeżeli jednak dzisiaj *N. Fr. Presse* na tle adresu profesorów pyta, czy dotychczasowa polityka zagraniczna może być kontynuowaną? — to fakta już dały odpowiedź. Gdyby wszystkie spory domowe, choć toczone w sposób najdramatyczniejszy, mogły oddziaływać na politykę międzynarodową, to w ogóle normalna polityka zagraniczna stałaby się niemożliwą, tak samo w Austro-Węgrzech, jak w Niemczech, w Anglii jak we Włoszech i t. d. Zapewne, były w dziejach czasy, gdzie właśnie wikłanie spraw międzynarodowych zatargami domowemi sprowadzało powszechny chaos, wojnę wszystkich z wszystkimi, jak w pierwszej połowie XVII stulecia. Od tego jednak czasu pojęcie państwa, jako odrębnej indywidualności, niejako zbiorowej osoby, a więc istoty stojącej „o sobie" i samodzielnej w obec drugich, tak bardzo się wydoskonaliło i zagłębiło w przekonaniach ogółu, że już o takiem oddziaływaniu spraw wewnętrznych na międzypaństwowe mowy być nie może.

Tej ewolucyi kilkowiekowej nie zdołają nagle powstrzymać panowie Schoenerer, Zimmerman et tutti quanti. Zresztą w tej chwili zaznacza się pewien lekki zwrot w dziejach opozycyi obstrukcyjnej. Dzień 15-ty lipca, który miał się stać szczytem tej opozycyi wskutek zaniechania przez gminy niemieckie funkcyi tak zwanego zakresu poruczonego, nie wywołał zamierzonego efektu. Według pierwotnego programu strejk miał obejmować wszystkie gminy niemieckie w całej Austryi. Tymczasem po za Czechami zaznaczył się tylko sporadycznie, wyjątkowo. Ale nawet w samych Czechach z mniej więcej 4.000 gmin niemieckich, ani trzecia część nie posunęła się do strejku. Największe miasto niemieckie w Czechach Liberec (Reichenberg) zaniechało go ze względu na statut, który wyraźnie obowiązuje miasto do spełniania tych funkcyi. Liczne inne gminy niemieckie w Czechach milcząco usunęły się od strejku. Rada miejska Theresienstadtu wczoraj wyraźnie dotyczący wniosek odrzuciła, ponieważ strejk „naraziłby tylko miasto na materyalne szkody". Słowem, można już dziś skonstatować, że strejk przeciwko „poruczonemu zakresowi" nie dopisał. Takie szumne akcye mają to do siebie, że jeżeli od razu nie wywierają zamierzonego efektu, to następnie sprowadzają tem dotkliwsze uczucie porażki. Menerzy opozycyi skrajnej nie obliczyli należycie sił swych, a daremny zamach pod hasłem strejku gmin oczywiście osłabi ich pozycyę wobec ogółu ludności niemieckiej.

---

2)

Czy i jakie istnieją „środki" przeciw psuciu się zębów?

(Ciąg dalszy).

Wzmiankowane zaś przemiany chemiczne dokonywują się w ustach stale ze współudziałem bakteryi, które tamże znajdują dla siebie najkorzystniejsze warunki rozwoju. Sprawa to nader ciekawa, warto jej się też nieco bliżej przypatrzyć. Któż dziś o bakteryach nie słyszał? W niezliczonych odmianach i gatunkach, są to drobnowidowe twory organiczne, które z niedowierzenia wielką szybkością rozwijają się i mnożą wszędzie, gdzie tylko znajdują dla siebie warunki odpowiednie po temu. Tymi warunkami są: odpowiednia temperatura, przystęp powietrza atmosferycznego (choć niektóre gatunki i bez tego rozwijać się mogą), wreszcie grunt, na którym dla swego rozwoju odpowiednie pożywienie znaleść mogą. Badania wykazują, że właśnie jama ust wszystkie te warunki w najlepszej jakości przedstawia, bo: bakterye rozwijają się najlepiej i najszybciej w temperaturze od 25 — 40 stopni Celsyusza, a jama ust ma właśnie ciepłotę około 37 stopni. O braku przystępu powietrza atmosferycznego chyba mowy być nie może, co zaś do gruntu, na którym by znalazły dla siebie pożywienie, to jama ust jest chyba wymarzonem miejscem dla tych strasznych, a niedostrzegalnych łatwo nieprzyjaciół. Czegoż bo one tam jako swej „pożywki" nie znajdują. Najpierw znaczną ilość wydzielanej w ustach śliny, komórek przybłonkowych, następnie całą masę roślinnych i zwierzęcych produktów, które jako pokarmy do ust brane, w małych cząsteczkach, mimo nawet najskrupulatniejszej czystości w załamkach między zębami i w fałdach błony śluzowej pozostają. Nic też dziwnego, że rozwijają się skwapliwie w licznych odmianach, z których 6 jest stałymi mieszkańcami jamy ust. Istnienie zaś swoje dokumentują w ten sposób, mianowicie, że jedne z nich wywołują kiśnienie, drugie zaś gnicie. Głównym składnikiem każdego pokarmu są albo węglowodory, albo istoty białkowate. Przy pierwszych rezultatem kiśnienia jest zawsze reakcya kwaśna, przy drugich występują produkta alkaliczne, mięszanina zaś obydwóch daje zawsze odczyn kwaśny. Rzecz naturalna, że ta przemiana pokarmu w skrobiowatych na kwas nie jest bezpośrednią, ale przechodzi pewne fazy, (skrobii na cukier, cukier na kwas dopiero). Doszliśmy więc do tego, skąd się w ustach biorą kwasy. Są one końcowym produktem rozkładu pokarmów skrobiowatych, rozkładu, dokonywanego przez obecność bakteryj w jamie ust, przy tak sprzyjających warunkach, jakie daje jama ust, albo też kwasy te są wprost z pokarmami tamże importowane. Przypatrzyć się teraz i rozważyć musimy, jak te kwasy zachowują się w bezpośredniem zetknięciu się z zębami, innemi słowy: jak one na nie oddziaływują. Omawiając pobieżnie budowę zębów, wzmiankowaliśmy, że pancerzem, pokrywającym koronę zęba jest tak zwane szkliwo, czyli emalia, której głównym składnikiem nieorganicznym są: fosforan i węglan wapna. Przedstawiając tę rzecz szczegółowiej, dodam, że ten fosforan i węglan wapna jest również przeważającym składnikiem tych warstw zęba, które są poniżej szkliwa a więc jego trzonu i korzenia. Sole te są jakby impregnowane w podstawową tkankę organiczną, która znowu poprzerzynana jest licznymi kanalikami biegnącymi od środka ku obwodowi. Tej organicznej tkanki podstawowej w szkliwie jest ledwo 2 — 5%, w dolnych warstwach zęba 25 — 28%, resztę stanowi wzmiankowany powyżej fosforan i węglan wapna. Cóż więc się dzieje, jeśli ząb na działanie kwasów jest wystawiony? Nic innego tylko to, że owe sole wapniowe w tych kwasach się rozpuszczają, następuje więc odwapnienie w pierwszym rzędzie szkliwa, potem innych warstw zęba. Z chwilą tego odwapnienia szkliwo, które prawie wyłącznie z tych nieorganicznych składników jest zbudowane, prawie doszczętnie niknie, a tym sposobem znika najtwardszy pancerz, w który korona zęba była osłonięta. Zniszczenie postępuje obecnie szybszym już krokiem, bo odwapnienie właściwego trzonu zęba z powodu mniejszej ilości rozpuszczalnego materyału (ciągle soli wapniowych) postępuje już raźniej i łatwiej, tak, że wreszcie cała massa zęba po wyługowaniu, że tak powiem soli wapniowych rozmięka. Po tym procesie pozostała więc tylko tkanka organiczna i z tym momentem pierwszy okres próchnienia zęba ukończony. Bakterye dokonały połowy dzieła, wytworzyły kwasy odwapniające tkankę zęba, pozostaje im już teraz łatwiejsze zadanie do spełnienia. Spełniają też takowe z całym zapałem, wciskając się w kanaliki, przebiegające w podstawowej tkance organicznej, mnożą się i rozwijają tamże, a posługując się nią jako pożywką, niszczą takową doszczętnie. Zniszczenie postępuje raźniej i raźniej, odwapnienie dąży coraz bardziej w głąb, za niem w zwartym szeregu cisną się, jakby w wyłom fortecy legiony bakteryi, wreszcie atakują nerw zęba, a ten najcięższy atak manifestuje się bólem. Tak wygląda w najogólniejszych oczywiście zarysach ów proces, zwany próchnieniem zębów.

Reasumując wszystko, cośmy dotąd powiedzieli, powtórzmy więc jeszcze raz: próchnienie zębów jest procesem złożonym, chemiczno-pasożytniczym, w którym widoczne są dwa wybitne okresy. Pierwszy okres, to odwapnienie kwasami tkaniny zęba z towarzyszącem mu rozmięknieniem; drugi okres, to doszczętne rozpuszczenie tego, co jeszcze pozostało, to jest rozpuszczenie tkanki organicznej. W obu okresach współudział bakteryi jest nieodzowny. Bez nich nie byłoby w jamie ust fermentacyi i następowych przemian pokarmów skrobiowatych w cukier i kwasy; bez nich nie byłoby zniszczenia podstawowej tkanki organicznej. Wobec tego procesu, który przestał być hypotezą lub teoryą, lecz jest udowodnionym faktem, zapytajmy, co możemy zrobić, aby mu zapobiedz; wyciągnijmy wszystkie wnioski, które nas pouczyć mogą, jak i o ile tej klęsce zaradzić. Zapytajmy przedewszystkiem, dlaczego u niektórych ludzi zęby psują się łatwiej, mimo całej troskliwości, z jaką je pielęgnują, w przeciwstawieniu do drugich, którzy takowe na łaskę losu — że tak powiem — pozostawiają? Słyszeć się daje nieraz twierdzenie, że zęby barwy niebieskawo-białej — a więc co do barwy najpiękniejsze — najłatwiej ulegają zniszczeniu. Może to tylko uprzedzenie, przypadek? W twierdzeniu tem jest nieco prawdy. To, co ząb na niszczący wpływ kwasów czyni opornym, to jest jego zawartość soli wapniowych, mianowicie ilość owego fosforanu i węglanu wapna. Ilość węglanu wapna w budowie zęba jest znacznie mniejsza; ale za to rozpuszczalność jego w kwasach, zwłaszcza rozcieńczonych, znacznie większa. Otóż ponieważ w zębach perłowo białych węglan wapna przeważa, przeto staje się łatwo zrozumiałem, dlaczego właśnie takie zęby, za najpiękniejsze uważane, rzeczywiście łatwiej ulegają zniszczeniu niż np. żółte, ciemniejsze, w których fosforan wapna przeważa. Rzecz naturalna, że ta „kruchość zębów" w ogólności stoi w prostym stosunku do ogólnej zawartości soli wapniowych w zębach. Ząb o budowie i strukturze silnej, zbitej, z prawidłową i dostateczną ilością soli wapniowych, będzie wytrzymalszym niż inny, który tej własności nie posiada. Sama więc tylko barwa zęba jest względną oznaką jego trwałości.

Dr. A. Gońka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Rzym, 15-go lipca.

Przybył tu przed kilku dniami Wilhelm Marconi, ów młody Włoch, którego odkrycia na polu przesyłania depesz telegraficznych bez pomocy drutów, nabrały niedawno tak wielkiego rozgłosu w Europie.

Marconi urodził się pod Bolonią w roku 1875-ym i zaczął od 18-go roku życia na własną rękę robić doświadczenia z falami elektrycznemi. W r. z., kiedy doszedł do pewnych rezultatów, pojechał do Londynu, aby przedstawić wynalazek dyrektorowi poczt, inżynierowi p. Pearce. Obecnie zaś minister marynarki włoskiej, p. Brin, usłyszawszy o odkryciach Marconiego, wezwał go do Rzymu, aby w obecności sztabu marynarki, naprzód w Rzymie, a potem w porcie wojennym w Spezzii dokonał szeregu doświadczeń ze swoim aparatem.

Wynalazek jest w rzeczy samej ważny a polega na wytwarzaniu fal elektrycznych w specyalnie skonstruowanym aparacie, które wprost przez powietrze, bez pomocy innych przewodników, dochodzą do drugiego odbierającego aparatu, wywołując tam iskry elektryczne. Iskry te za pomocą przyrządu Morse'go tłomaczone są na punkty lub kreski. Dotychczas udaje się telegrafowanie bez drutów na przestrzeni dwóch mil. Fale elektryczne przechodzą bez zmiany przez drzewo, mur i inne przedmioty. Marconi początkowo obawiał się, aby napotykane po drodze przewodniki elektryczne, np. druty telegraficzne, telefoniczne i wogóle metale nie wpływały na wysyłane fale. Dr. Slaby, na zasadzie doświadczeń, dokonanych w politechnice charlottenburskiej, twierdzi, że obawa Marconiego w tym względzie jest płonna. Jesteśmy tedy wobec wynalazku, który po udoskonaleniu może mieć w skutku nieobliczone następstwa.

W r. z. przerwany został drut telegraficzny podmorski pomiędzy Anglią a wyspą Mull. Przy tej sposobności Marconi mógł wykazać doniosłość swego wynalazku, gdyż telegrafował bez drutów, w odległości 4½ mil. angielskich, a więc mniej więcej 7 klm.

Jak zwykle, tak i u Marconiego przypadek grał wielką rolę w wynalazku. Robiąc próby z przesyłaniem fal elektrycznych na odległość [illegible] klm., spostrzegł, iż one oddziaływały na odbieracz elektryczny, położony za pagórkiem. Tym sposobem przekonał się, iż można posyłać depeszę przez górę, tylko dotąd nie wie, czy fale przenikają pagórek, czy drapią się, że tak wyrażę po nim, aby przejść na drugą stronę.

Zdaniem młodego Marconiego, zależy tylko od energii elektrycznej, czy można będzie depesze posyłać na 20 klm. odległości. Wynalazek p. Marconiego byłby przedewszystkiem nieoceniony w czasie wojny, gdyż dowódzcy mogliby się znosić z sobą z dość znacznej odległości. Admiralowie floty mogliby używać tego wynalazku do wysyłania nieprzyjacielskich statków w powietrze, gdyż jak utrzymuje p. Marconi, w razie gdyby na okręcie znajdowały się dwie blaszki metalowe lub dwa gwoździe w pewnej odległości, statek musiałby wylecieć w powietrze.

Jak widzimy, wynalazek ten ma wielką przyszłość przed sobą. Marconi posiada własny sekret w urządzaniu przyrządów i wziął nań patent. Jego ideałem jest, aby między Londynem a Nowym Yorkiem zaprowadzić komunikacyę telegraficzną bez drutów podwodnych.

We Florencyi zmarł przed kilku dniami w podeszłym wieku literat włoski Napoleon Giotti, który oprócz wielu innych prac napisał studyum o Adamie Mickiewiczu.

Mieliśmy tu niedawno rozruchy antiwagnerowskie. Podczas koncertu kapeli miejskiej, skoro orkiestra rozpoczęła grać wyjątek z Lohengrina, odezwały się głośne sykania i gwizdania, również okrzyki: „Precz z Wagnerem, niech żyje Verdi". Zwolennicy Wagnera rozpoczęli przeciwną demonstracyę, która doprowadziła do krwawej bójki. Przeszło 30 osób zostało zranionych.

Program stronnictw autonomicznych w Austryi.

III.

Z kolei przechodzi autor do rozbioru autonomii i agend tak zwanego poruczonego zakresu działania. Nie może autor zataić podejrzenia, że centraliści, twórcy konstytucyi lutowej, zapewne nieszczerze pojmowali autonomię i widzieli w niej tylko środek do ulżenia finansom państwa przez to, że troska o wiele ważnych gałęzi administracyi przekazana została krajom. Dowodnie wykazuje autor, jaki błąd popełniły dawne rządy austryackie. „Powierzały one — czytamy w broszurze — gminom zarząd pewnych państwowych agend w poruczonym zakresie działania", ażeby przez to koszta pewnych państwowych funkcyj zwalić na gminy, często bardzo biedne i nie dorastające do poruczonych im zadań. Przyznanie autonomii gminnej było wyraźnie uczynione zależnem od przyzwolenia na przyjęcie tego „poruczonego zakresu działania" i jak się zdaje, zapomniano przytem całkiem, że co dzieje się kosztownie i nieudolnie na koszta gminne, ostatecznie tylko osłabia siłę podatkową dla państwa i ma za skutek krzyczącą niesprawiedliwość, że słabe gminy, które do spełniania tych samych niedobrowolnych funkcyj tak, jak wielkie zostały powołane, muszą te, niestosunkowo wielkie ciężary nałożyć właśnie na tak ważny pod względem ekonomicznym i socyalnym stan średnich posiadaczy ziemi i rzemieślników. Może była to mądrość finansowa, podobna do tej, jaka niegdyś współpracowników Antoniego v. Schmerlinga skłoniła do przeniesienia na kraje zarządu pewnych ważnych ekonomicznych spraw. Ale kraje pojęły inaczej swe zadanie, aniżeli największa część gmin, jęły się one chętnie pracy, widziały bowiem we wszystkiem, co przyznano autonomii krajów, pozwolenie na to, co było prawem krajów. Zresztą były odnośne środki decentralizacyjne także istotnie trafnemi, co wynika z tego, że kraje rzeczywiście wiele i bardzo wydatnego zdziałały na tych terenach, które im wyznaczono — co również musi być zresztą przyznane także na pochwałę gmin wielkomiejskich, o ile one były czynne we własnym zakresie działania, oraz autonomicznych reprezentacyj powiatowych.

Bądź co bądź jednak dano autonomicznym władzom — być może z wyjątkiem gmin wielkomiejskich — tylko w najwyższym stopniu niewystarczające środki do spełnienia ich zadań. Szczególnie skąpo wyposażona została w tym kierunku autonomia krajowa; odmówiono jej uznania jej charakteru jako autonomicznego rządu krajowego, przyznając jej niemal tylko iluzoryczne prawo nadzorcze nad postawionemi z nią w gruncie rzeczy na równi lokalnemi ciałami autonomicznemi i pozbawiając ją wszelkiej, samoistnie wykonywanej władzy; podwiązano ścisłą przynależność do siebie Wydziałów krajowych i Sejmów przez to, że sposób, w jaki pierwsze bywają składane, nie pozwala im stać się czysto parlamentarnym wyrazem sposobu myślenia Sejmów; przedewszystkiem jednak zostały kraje skazane na to, że w istocie przy staraniu się o niezbędne finansowe środki pomocnicze muszą się ograniczać jedynie do rozpisywania „dodatków krajowych" do podatków dochodowych.

Gospodarka finansowa, urządzona tak, jak gospodarka naszych krajów, musi koniecznie zesztywnieć i stać się bezradną. Uprawnienie naszego przestarzałego systemu podatków dochodowych jest coraz bardziej i to przez pierwsze powagi podawane w wątpliwość; powszechnie skarżą się na to, że właściciel przedmiotu opodatkowanego ustawicznie znachodzi się w tem położeniu, iż musi płacić podatki z przypuszczalnych dochodów, których wcale nie ma i że niezręczny system podatkowy w czasie, kiedy korzystanie z kredytu tak wielkie przybrało rozmiary, jak najfatalniej oddziaływa na wszystkie gospodarcze stosunki, co szczególnie przy tak wysokim w Austryi wymiarze podatków musi stać się bardzo uciążliwem.

Gdyby to miało tylko zastosowanie przy podatkach, płaconych całemu państwu, to, przy zachowaniu zasady niezmiennej podstawy podatkowej, mogłyby złe strony tego być jeszcze znośnemi; ale pokrywać prawie wyłącznie dodatkami do podatków koszta administracyi powiatowej, krajowej, albo gminnej, wraz z wszystkiem, co się z tem pośrednio lub bezpośrednio łączy — to staje się rzeczą w najwyższym stopniu fatalną i nie rzadko może się zdarzyć, że podatek dochodowy wraz z owymi dodatkami zabiera podatkującemu cały jego czysty dochód, a nawet jeszcze więcej ponadto.

Autor zastanawia się nad tem, co właściwie jest powodem, iż gospodarka finansowa krajów jest tak skrępowana i że ulepszeniu jej stoją w drodze prawie nieprzezwyciężone trudności. Z wielką znajomością rzeczy i bardzo logicznie wyjaśnia autor tę ujemną stronę autonomii. Oto budżety krajowe układane w pierwszych latach życia konstytucyjnego były bardzo małe. Sejmy więc nie potrzebowały stawiać zbyt wielkich wymagań ludności płacącej podatki. Powodem tego, że budżety krajowe ustawicznie rosły, jest to, że sejmy ochoczo zabrały się do wyznaczonej im pracy i starają się zdziałać jak najwięcej dobrego. Co roku potrzeba stwarzać nowe zakłady krajowe, szkoły, banki, drogi i szpitale, każdy postęp dokonany rodzi potrzebę dalszego postępu. Fundusze jednak na wszystkie te wydatki, płynące jedynie z dodatków do podatków, nie wystarczają. Sejmy zaś nie mają odwagi podwyższyć dodatków krajowych, znika przeto równowaga między dochodami a wydatkami, długi krajowe mnożą się i nasuwa się poważne pytanie, w jaki sposób te długi będą kiedyś umorzone i co stanie się z finansami najbogatszych nawet krajów. Gdyby kiedyś udało się odstąpić krajom w całości podatki dochodowe, pytanie to przybrałoby inną formę, ale do tego jeszcze daleko, a tu potrzeby naglą. W jaki sposób więc starać się o zaspokojenie finansowych potrzeb krajów?

„Na to pytanie — pisze autor — są dwie, w duchu swym sprzeczne odpowiedzi, obecnie wykluczone. Najżarliwszy nawet centralista nie może proponować przejęcia wszystkich agend krajowych przez centralny rząd i parlament państwowy; nie oszczędzonoby na tem — ale przeciwnie; uczucia mieszkańców wszystkich krajów zostałyby ciężko dotknięte, a jeden jednokształtny szablon, według którego prawie nieuniknienie musianoby prowadzić zarząd z miejsca centralnego, byłby, przy nieuwzględnianiu tak wielkich różnorodności stosunków krajowych, zdolnym tylko do tego, ażeby wszędzie wyrządzać nieobliczone szkody, często zaś, przez faworyzowanie jednych krajów, inne krzywdzić. Ale byłoby także całkiem niedopuszczalne chcieć z zapoznaniem wszystkich gospodarczych potrzeb chwili obecnej cały finansowy zakres Rady państwa przenieść na Sejmy. Dopóki nie będzie możliwem, uznać podatku osobisto-dochodowego jako jedyne źródło dochodu, czerpanego przez państwo bezpośrednio od podatkującego — a któż może przepowiedzieć kiedy to ma stać się i czy wogóle się stanie? — musi system podatków dochodowych pozostać zawisłym od ustawodawstwa państwowego. Nikomu nie wpadnie na myśl wnosić, by jakikolwiek inny parlament, a nie państwowy, uchwalał ustawy o wysokości podatku osobisto-dochodowego, podatku od rent, wielkich pośrednich podatków, albo nawet dochodów z cła. Kto posiada jaką taką znajomość gospodarczych warunków życia nowoczesnego społeczeństwa, nie będzie z pewnością uważał tak daleko idącego finansowego federalizmu w Austryi za możliwy. Jest zapewne dopuszczalne, ażeby Sejmy uchwalały sobie poszczególne, samoistne daniny krajowe, które dotykałyby poszczególnych przedmiotów zbytku; nie da się także nic zarzucić przeciw należytościom krajowym za polowanie i prawo wyszyku; tylko jest rzeczą w najwyższym stopniu wątpliwą, czy przez takie środki można finansom krajowym trwale pomódz. Dopóki państwo jeszcze potrzebuje dla siebie podatków dochodowych, możemy widzieć tylko jeden środek pomocy i tego musimy z całym naciskiem domagać się. Oto pewna, proporcyonalna część dochodów państwowych z poszczególnych podatków musi być odstąpiona krajom, a mianowicie w ten sposób, ażeby dochody krajowe wzrastały stosunkowo z dobrobytem ludności kraju. Na tę drogę wstąpił obecny rząd w jednym wypadku, jest on skłonny postępować na niej dalej i w tym kierunku może być pewnym sympatyi i poparcia wszystkich autonomistów".

Echa z wód.

Ze Szczawnicy piszą do *Głosu nar*:

„Nie masz dalekiej drogi do mojej niebogi" — powiada przysłowie polskie. Ponieważ przysłowia są mądrością narodów, wziąłem więc je do serca i po naradzie z moim nadwornym Eskulapem, puściłem się w długą i nużącą podróż, z pod stóp gór Uralskich, z krańców Rosyi europejskiej, hen, daleko! aż na zachód, gdzie wśród uroczej okolicy znajduje się Szczawnica, miejscowość kąpielowa, posiadająca uzdrawiające źródła na wszelkie dolegliwości płucne.

Przejechałem Petersburg, Wilno i Warszawę. W Krakowie zatrzymałem się dwa dni, aby uderzyć czołem w katedrze na Wawelu i pokłonić się szczątkom naszych wielkich królów i bohaterów. O godzinie 11-tej wieczorem wsiadłem do pociągu idącego w stronę Szczawnicy — a nad ranem znalazłam się w Starym Sączu. Na dworcu hałas i krzyk nie do opisania. Brodaci miszuresy zaczęli mnie szarpać na wszystkie strony i wychwalać swoje wehikuły.

— Wiele chcesz za powóz?

— Zwanzig ranisz — brzmiała odpowiedź.

Nie rzekłem jednego słowa i wyszedłem na dziedziniec.

Zbliżył się do mnie wysmukły góral i rzekł:

— Panocek chcą jechać do Szczawnicy. Ja zawiozę.

— A co żądasz?

— Sześć papierków.

— A pięć weźmiesz?

— Siadajcie z Bogiem.

Pojechałem. Po raz pierwszy znalazłem się w tym błogosławionym kraju. Patrząc się na wartki Dunajec, góry zarosłe lasami, widoki godne pędzla Milleta, nie żałowałem trudów i fatygi. Wszak to najpiękniejsza część naszej drogiej ojczyzny i porównać ją ze Szwajcaryą rzeczywiście można. Po sześciu godzinach stanąłem w górnym zakładzie szczawnickim. Wyobrażałem sobie bardzo wiele, ale to, co zobaczyłem, przeszło moje oczekiwania. Szczawnica to jeden olbrzymi ogród, zapełniony kwiatami, Domy, wille, pałacyki kąpią się w zieleni. W pokojach nawet komfort. Ze zdziwieniem zobaczyłem dzwonki elektryczne. Usługa wyborna jest do dyspozycyi na każde zawołanie. Ostrzegano mnie, że jest drogo. Przekonałem się, że to wierutne bajki. Za ładne mieszkanko, złożone z 2 pokoików, płacę 1 zł. 30 ct. Bardzo dobry obiad w restauracyi Oleksego nie kosztuje reńskiego. Przytem podają obficie i trzeba bardzo obszernego żołądka, aby skonsumować trzy potrawy.

Na deptaku spotkałem same wesołe twarze. Uprzedzono mnie, że co krok będę widział samych suchotników, o wstrętnych i wykrzywionych fizyonomiach. Szukałem podobnych indywiduów, lecz ich nie znalazłem. Natomiast widziałem wiele pięknych kobiet, głównie Warszawianek, odznaczających się szykiem i eleganckiemi toaletami.

Dla uprzyjemnienia grywa codziennie dwa razy wcale dobra orkiestra, pod dyrekcyą p. Cybulskiego, kapelmistrza z Krakowa. Rano o godzinie 7 zostałem zbudzony hymnem: „Kiedy ranne wstają zorze". Ukląkłem i zmówiłem pacierz serdeczny. Podziękowałem Bogu, że mi pozwolił zobaczyć kraj czysto polski, gdzie mogę śmiało przyznać się do mojej narodowości i odetchnąć świeżem powietrzem. Ponieważ miałem przesadzone pojęcie o zaraźliwości gruźlicy, materace wydały mi się podejrzane. Uspokoił mnie jednak służący Walek. Wskazał mi zakład desynfekcyjny, gdzie cała pościel przechodzi proces oczyszczenia i pod tym względem nic zarzucić nie mogłem.

Gdy przyjechałem, zastałem jeszcze mało kuracyuszy. Dopiero od 5 lipca ruch wzmógł się ogromnie. Od strony Starego Sącza ciągną nieprzerwanym sznurem powozy, wózki i budy przykryte płótnem. Wyrzucają one setki gości i obecnie ruch towarzyski bardzo się ożywił. Odbyły się już dwa reuniony, pod wodzą doktora Górskiego. Pokazało się, że nietylko jest on dobrym lekarzem, ale i dobrym aranżerem. Mazur przypomniał mi młode czasy. Brabanckie koronki pod birbanckimi obcasami darły się w drobne kawałki, ale ochota nie ustawała i zabawa przedłużyła się do godziny 1 w nocy. W przyszłą niedzielę odbędzie się teatr amatorski. Następnie będziemy się delektowali koncertem krakowskiego chóru akademickiego, koncertem panien Roszkowskich z Warszawy, koncertami Barcewicza, lwowskiego „Echa" i t. d. W ogóle, kuracyusze nie mogą narzekać na brak uprzyjemnienia czasu. Nie wspominam już tutaj o wycieczkach na Bojarkę, do Leśnego potoku i Czerwonego klasztoru. Codziennie bowiem zbierają się kółka po kilka i kilkanaście osób i urządzają sobie spacery na własny rachunek.

W obecnym sezonie świat artystyczny i literacki silnie jest reprezentowany. Naturalnie Warszawa dostarcza największego kontyngensu.

KRONIKA.

Lwów 21 lipca.

Marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni wyjechał wczoraj do Buska. Wróciwszy dziś rano zlustrował marszałek szpital powszechny.

Zjazd Towarzystwa pedagogicznego. Ze Stanisławowa nam piszą: Wygłoszone w poniedziałek referaty prof. Kłapkowskiego pt. „Nauka rysunków w szkołach wydziałowych męskich" i dr. Ferdynanda Obtułowicza ze Lwowa pt. „Hygiena budynków szkolnych" wywołały długą i rzeczową dyskusyę. Zgromadzenie uchwaliło rezolucyę zgodnie z wnioskiem referenta dr. Obtułowicza, aby przy wyborze miejsca pod budowę nowych szkół zasięgano opinii lekarzy rządowych, ażeby utworzono płatne posady stałych lekarzy szkolnych, oraz ażeby na wydziale filozoficznym dla kandydatów nauczycielskich do szkół średnich i na wydziale teologicznym, zaprowadzono jako przedmiot obowiązkowy naukę hygieny.

We wtorek odczytano referat p. Jaworskiego pt. „Wychowanie fizyczne w szkołach ludowych", poczem p. Szczepanowski wygłosił krótką mowę na temat „Szkoła ludowa i jej związek z wychowaniem narodowem". Po południu przystąpiono do wyborów. Prezesem wybrano, jedynego kandydata na godność prezesowską, p. Stanisława Szczepanowskiego, zaś jego zastępcą p. Tomasza Tokarskiego, okręgowego inspektora szkolnego ze Lwowa.

Stypendya dla gimnazyum cieszyńskiego. Za przykładem Rady miejskiej we Lwowie uchwaliła wczoraj krakowska Rada miejska utworzyć 10 stypendyów po sto złr. na rok szkolny 1897/8 dla uczniów gimnazyum polskiego w Cieszynie.

Mianowania. Naczelnym buchalterem banku krajowego w miejsce ś. p. Bogusława Longchampsa mianowano p. Michała Majewskiego.

Hojny zapis. Dr. Józef Ostoja Zagórski, zmarły 11 czerwca w Wiedniu, przeznaczył cały swój majątek, wynoszący kilkaset tysięcy złotych, na stypendya dla młodzieży szkolnej wyznania chrześcijańskiego, kształcącej się w szkołach rolniczych, handlowych, przemysłowych i rzemieślniczych. Egzekutorem testamentu i kuratorem stypendyów ustanowił zmarły dr. Kazimierza Junoszę Gałeckiego, sekretarza ministeryalnego w Wiedniu.

Wykopaliska. Ks. kanonik Piotr Biliński, proboszcz z Zarwanicy w powiecie podhajeckim, znany badacz zabytków przeszłości, odkrył w starem zamczysku zwanem „Polisiuki" bardzo długie i obszerne piwnice. Na razie znaleziono tam kilka czworograniastych glinianych dzbanów, oraz mosiężny krzyż, pochodzący z XV wieku. Dalsze poszukiwania są w toku.

Konkursa rozpisuje: Prezydyum sądu wyższego w Krakowie na posadę rewidenta, ewentualnie oficyała a względnie asystenta rachunkowego przy oddziale rachunkowym. Termin do 9 sierpnia.

Złowili zbrodniarza. Więzień Michał Trojan, który dnia 3 b. m. zbiegł z roboty przy regulacyi górskich potoków w Śnietnicy koło Grybowa, schwytany został przez węgierską żandarmeryę w Bardyowie i odstawiony dnia 18 b. m do lwowskiego zakładu karnego.

Napad rozbójniczy. Cyryl Wrzeciona, czeladnik w handlu p. Spożarskiego, szedł dnia 17 lipca wieczorem około 9 godziny gościńcem ze Lwowa do Winnik. Zaraz za Lwowem, naprzeciw browaru lisinieckiego, wybiegł z lasu jakiś człowiek, napadł na Wrzecionę, schwycił go za gardło i zaczął krzyczeć: „Dawaj pieniądze, bo cię zabiję". Gdy Wrzeciona odrzekł, że jest ubogim robotnikiem i pieniędzy nie ma, krzyknął napastnik: „Nieprawda, ty pan! dawaj pieniądze, jakie masz, inaczej zginiesz!" Na krzyk napadniętego wybiegło z lasu jeszcze czterech drabów, przytrzymali Wrzecionę i odebrali mu cały tygodniowy zarobek w kwocie 4 zł. 60 ct., który miał przy sobie, wyrwali mu także parasol z ręki, a z głowy zdarli kapelusz. Wrzeciona prosił, aby mu przynajmniej kapelusz zwrócono. Rabusie poszeptali coś między sobą, oddali kapelusz, a jeden z nich przyłożył Wrzecionie nóż do gardła i powiedział: „Masz kapelusz i idź spokojnie; jeżeli będziesz krzyczał, to padniesz trupem". Wrzeciona bał się już iść dalej do Winnik i wrócił do Lwowa, a nazajutrz doniósł o całem zajściu policyi. Opryszków dotychczas jeszcze nie wykryto.

Byle nie przesadzić. Dnia 1go sierpnia zbiera się w Cieszynie wiec polski, mający się zastanowić nad sprawą cieszyńskiego gimnazyum polskiego. Z powodu tego wiecu jedno z pism krakowskich proponuje zwołanie kongresu słowiańskiego do Krakowa, motywując zaś swój projekt w sposób następujący: „My Słowianie stanowimy większość w Austryi, więc nie Niemcy ale my prawa dyktować winniśmy. Skupmy przeto razem nasze siły a niezawodnie zwyciężymy w Austryi wroga niemieckiego, wspólnego wroga wszystkich Słowian itd."

Owóż zwrócić tu należy uwagę tych słowiańskich patryotów na okoliczność, że Niemcy swoją niepolityczną agitacyą, awanturami, jakie urządzają w państwie, zachowaniem się swojem w parlamencie, niewstrzemięźliwością swojej prasy, skompromitowali siebie ogromnie tak wobec cesarza i dynastyi jakoteż wobec dworu berlińskiego, i że nie potrafilibyśmy ich lepiej zrehabilitować wobec tych przemożnych czynników, jak naśladując ich w niewstrzemięźliwości, urządzając hałaśliwe kongresy, wiece, zjazdy, prawiąc duby smalone o tem, komu przystoi dyktować prawa itd. Jeżeli chcemy dobić Niemców i na długie lata odsunąć ich od tego, aby w Austryi prawa dyktowali, to zachowujmy się z taktem, nie urządzajmy żadnych demonstracyi, jeżeli zaś chcemy doprowadzić do tego, aby wszystkie przewinienia Niemców zostały im przebaczone i aby znowu wrócili oni do łaski i znaczenia, to zacznijmy prawić o jakiejś wspólności słowiańskiej, o pokrewieństwie bliskiem z innymi słowiańskimi ludami, o wspólnej idei słowiańskiej, która jest absurdem, zacznijmy urządzać demonstracye hałaśliwe, starajmy się wszelkiemi siłami, aby w całych Niemczech powstał ogólny wrzask przeciwko nam.

Że też ci panowie, którzy lubią prawić o wspólności słowiańskiej, o idei słowiańskiej, pokrewieństwie słowiańskiem, i o innych słowiańskich rzeczach, zawsze zapominają o tem, że na polu słowiańskiem nie my, ale Rosya gra na pierwszych skrzypcach, i nie do nas ale do Rosyi posyłają westchnienia zarówno Czesi, jak Kroaci, Słoweńcy, jak Serbowie, Bułgarzy, jak Czarnogórcy; kto tedy prawi o słowiańszczyźnie i ten sztandar podnosi, ten nie dla Polski ale dla Rosyi pracuje.

3)

Z wycieczki do kąpiel

w Boulogne.

(Ciąg dalszy).

Za fotelem mamy stoi taburecik, i na tymto tabureciku siada często jakiś pan, wysoki, jasny blondyn, o szlachetnym profilu—niezmiernie dystyngowany, ale rysy jego nacechowane są również wielką melancholią; oczy ma wielkie, wązkie, o fiołkowym odblasku, o ciemnej rzęsie; w oczach tych maluje się dusza szlachetna, ale zmęczona, beznadziejny smutek w nich przebija.

Młoda, urocza mama, gdy tylko tego wysokiego pana zobaczy z daleka, składa książkę, poprawia się na fotelu, układa fałdy pleda, który ją okrywa, i — nie wiem, czy to przywidzenie, czy prawda — ale zdaje mi się, że na jej twarz przejrzysto białą występuje lekki rumieniec, który natychmiast znika.

A może to tylko odblask kapotki, ponsowym materyałem podbitej..

Już ten wysoki pan jest tuż, tuż, blizko, już do niej rękę wyciąga i zamieniają „*shake hands*" (uścisk rąk). Ona podnosi na niego oczy o zielonawej morskiej barwie, oczy, w których łza z uśmiechem się łączy.

Wielka to niedyskrecya tak ich obserwować, ale oni nic o tem nie wiedzą, a wzrok mimowoli ku nim się kieruje.

On usiadł za nią, zamieniając kilka słów, potem patrzą na morze i tak w zadumie, czy w jakiem marzeniu pogrążeni, siedzą cicho, nie mówiąc prawie; tylko do dziewczynek się uśmiechają, gdy która przybiegnie, a każda z nich temu panu rączki zarzuca na szyję na znak powitania; gdy zaś on chce nadmorskiego motylka przytrzymać, ten mu się wyrywa i pędzi znowu kąpać bose nóżki w morzu.

Długie chwile tak spędza tajemnicza ta para; oboje zapatrzeni w bezmiar obrazu, który się roztacza przed nimi. A potem nadchodzi gruby, rudy jegomość, o nabrzmiałych ustach i maleńkich oczkach z czerwoną obwódką; wtedy — może to znowu złudzenie — ale na klasycznie piękną twarz młodej mamy bije nowy rumieniec; ten pan wysoki wstaje, smutek znika mu z oczu, a na jego miejsce jakiś zacięty niezadowolony wyraz w nich przebija.

Znowu „*shake hands*" zamieniają, wysoki pan ustępuje miejsca małemu, grubemu, i stoi chwilę obok pięknej pani, poczem żegna ją i zbliża się do dziewczynek; pomaga im okopać wałem obronnym forteczkę, którą z piasku wystawiły, uśmiecha się do nich dziwnie słodkim ale i smutnym uśmiechem, zdaleka posyła ostatni już ukłon pięknej pani i rudemu panu i znika.

Pięknej pani oczy gonią za nim chwileczkę, potem znowu na morze się kierują, a na twarz jej, choć taką uroczą, pada cień beznadziejnego smutku i harmonizuje ze smutnem morzem, ze smutnem niebem. Ona tworzy jakby konieczną cząstkę tej melancholijnej całości.

Dziewczynki już nie mogą potem wywołać uśmiechu na usta matki. Nieruchoma, jakby skamieniała, siedzi; oczu od morza nie odrywając. Dzieci zwracają się do rudego pana i wołają. — *Papa, look that* (papa, patrz na to)

Zawsze mają coś ciekawego do pokazania, papa spojrzy to na muszlę, to na gwiazdę morską, i wstaje poziewając, a w chwilę później rozpoczyna nową partyę „tennisa", przy której podskakuje zręcznie jak niedźwiedź, z czoła pot ociera i sapie, ale nie spudłuje nigdy.

To jeden obrazek.

Są inne, więcej na przyszłość obiecujące.

Chudszy od zgłodniałego komara amerykanin w kraciastym palcie i do jutrzenki podobna młoda amerykaneczka, z włosami rozpuszczonemi, jak fala złota, siedzą w kabince płóciennej, zawsze razem, na bardzo wąziutkiej jednoosobowej ławeczce, przytuleni do siebie; zdawałoby się, że oboje naraz mówią bezustannie, bo ciągle ustami poruszają; po bliższem zbadaniu tej sprawy okazuje się, że poruszanie to pochodzi z nienasyconego apetytu: nie można ich spotkać, aby czegoś nie jedli, nie żuli, albo nie częstowali się wzajemnie orzechami, cukierkami, ciasteczkami, czemkolwiekbądź...

Panna Kicia znieść ich nie może. Nazywa ich „krabami" i dowodzi, że Bum traci apetyt, ile razy tę parę spotka na spacerze. W ogóle ani Kicia, ani Bum nie lubią wielkiej *plaży*; Kicia z powodu światowości, która tu panuje i tych par różnych, których zachowanie się razi jej pojęcia „*du correct*", a pewnie najwięcej dla tego, że sama ma sobie za obowiązek zachowywać się „*correcte*" na tem modnem wybrzeżu, że tutaj nie odważyłaby się boso za Bumem po wodzie upędzać, a na małej *plaży*... to co innego, różnie się tam dzieje.

Bum zaś nienawidzi tego zgiełku światowego, potępia sposób, w jaki się ludzkość zabawia; piłki, pędzące w powietrzu, niepokoją go, kule, toczące się po ziemi, emocye nieprzyjemne mu sprawiają od czasu, kiedy jedna młoda „miss" kulą skrokietowaną nieostrożnie natrafiła na łapę Buma, a Bum kuleć zaczął i, skomląc żałośnie, do nóg Kici się przyczołgał, a Kicia się rozpłakała, wygrażając (szczęściem, że po polsku) młodej miss pomstą niebios i dowodząc, że jest bez serca, bez czci i wiary. Od tej to bolesnej i pamiętnej przygody, rzadko kiedy pokazujemy się na wielkiej *plaży*, choć mnie tam ciągnie tajemnica. Ta piękna, smutna pani i ten sympatyczny, wysoki mężczyzna, tak często na pamięć mi przychodzą.

Swoją drogą Bum to intrygant i komedyant, nikt mi tego z głowy nie wybije: ile razy chce się wykręcić od czegoś, co mu nie trafia do przekonania, tyle razy udaje kulawego. To jest „truc", niezawodzący go nigdy, bo Kicia nie omieszka brać kalectwa na seryo, i zwykle Bum zostaje panem położenia, dzięki tej nikczemnej strategyi.

* * *

Na małej *plaży* cisza.

Gdy morze przypływa, wtedy posuwa się czasem aż pod sam olbrzymi wał z piasku, na którym w zwykłych okolicznościach Kicia z Bumem gospodarują, jak u siebie.

Całą tę górę piaszczystą zagarnęli na własność i gdy czasem, ale rzadko, intruz jaki tu się zabłąka, Bum wyszczekuje z furyą, a Kicia zachęca go po cichu do wyraźniejszego ataku, któryby intruza przekonał, że niebezpiecznie jest zapuszczać się w te strony. Ale Bum zachęty tej zrozumieć nie chce; całe szczekanie odbywa się z po za fałd sukienki panny Kici, za któremi bezpiecznym się czuje, platonicznie tylko wygrażając. Jeżeli kiedy natura ludzka w psią postać zaszczepioną została, to natura Tartarina du Tarascon siedzi niezawodnie w Bumie.

Na małej *plaży* cisza, morze odpłynęło, z po za mgły widać zdala kilka kabinek, snujących się z gośćmi kąpielowymi tam i napowrót.

Ale oprócz szmeru fal i tęsknego wiatru nic tu nie słychać.

W górze piaszczystej są rozmaite zakątki, jamy, zagłębienia, jedne w formie szeslonga, inne łóżka, inne maleńkiego pokoiku; stosownie do siły wiatru, zasuwamy się głębiej w te piaszczyste szczeliny, albo też zostajemy na powierzchni.

Czy to szeslong, czy „buduarek", tak przez nas zwany, wykłada się pledem; jeżeli większy deszcz, to się parasole zamiast dachu nad tem improwizowanem mieszkaniem rozpina, i oto gotów jest namiot wygodny, cichy, miękko usłany.

Wtedy Kicia otwiera książkę, najczęściej powieść pani Craven; jej towarzyszka zagłębia się w Dawidzie Copperfieldzie, czytają. Bum popada w stan uśpienia tak rozkosznego, że chrapanie jego stanowi dość głośną nutę w nadmorskim akordzie.

Dobrze nam tu, bardzo dobrze. Od czasu do czasu podnosi się oczy i w dali za mgłą jakieś cienie snują się, niewiadomo, w obłokach, czy na morzu. To łodzie rybaków, czarne, o ciemnych żaglach, suną cicho, cichutko, jak duchy pokutujące.

A może to duchy, doprawdy? Sławne, malownicze „matelottes" bulońskie tyle razy widziały na własne oczy łódź taką, na której mężów spodziewały się powitać, mężów, wracających z dalekiej wyprawy, a tu żagle w mgłę się rozpłynęły, statek w fale morskie się zamienił, i nic nie pozostało, oprócz złowieszczego przeczucia w sercu żony, że mąż nie wróci już nigdy.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Samobójstwo i zamierzone morderstwo. Na przedmieściu Währing, przy Martinstrasse w Wiedniu, mieszkał Józef Bayer, pisarz adwokacki, wraz ze swoją żoną Barbarą i jej siostrą. Bayer miał nawet dobre dochody i mógł się z rodziną przyzwoicie utrzymać, ale lubiał życie wesołe i wieczory zawsze spędzał w piwiarni, gdzie nieraz wydawał i 10 złr., był bowiem hojny i chętnie częstował swoich przyjaciół. Chlebodawca lubił go bardzo, gdyż był pracowitym. Cieszył się też jego pełnem zaufaniem i pryncypał powierzał mu odbiór pieniędzy na mieście. Raz sprzeniewierzył sto złr., lecz żona pokryła z własnych oszczędności. Przed dwoma dniami zainkasował 300 złr. Nie pokazał się w biurze, lecz cały dzień pił w szynku. Po powrocie do domu, zastał bilet adwokata, wzywający go, aby natychmiast przyszedł do jego mieszkania prywatnego. Wiedział, co go czeka i postanowił umrzeć. Wyjął rewolwer, nabił go sześcioma kulami i obudził żonę.

— Sprzeniewierzyłem znaczną kwotę — rzekł do niej — i musimy zginąć obydwoje.

Przerażona kobieta zaczęła go błagać i przedstawiać, że nic nie stracone. Ona wystara się rano o 300 złr. i ocali go. Bayer był nieubłagany i strzelił do nieszczęśliwej. Sam, wpakował sobie kulę w prawe płuco i padł trupem na miejscu. Pani Bayer odniosła dość ciężką ranę, ale życiu jej nie grozi niebezpieczeństwo.

Z Tarnopola nam piszą: Onegdaj podpisali reprezentanci gminy kontrakt z firmą „Oesterr. Eisenbahn-Verkehrsanstalt“ w Wiedniu, na podstawie którego firma ta zaprowadzi w mieście naszem oświetlenie elektryczne. Gmina udzieliła firmie 42-letnią koncesyę na oświetlenie, poczem zakład przejdzie na własność miasta. Za 60 lamp łukowych i 223 żarowych opłacać będzie gmina 6000 zł. rocznie. Jeżeli się zważy, iż dotychczasowe oświetlenie naftowe, a raczej ciemności egipskie, kosztowały gminę około 5000 zł., nabierze się przekonania, iż gmina dobry zrobiła interes. Instalacyą oświetlenia elektrycznego zajmuje się firma budapeszteńska Ganz i Spółka, która zobowiązała się w pierwszych miesiącach przyszłego roku oddać oświetlenie do publicznego użytku.

Do najpiękniej się rozwijających towarzystw, które posiadamy w Tarnopolu, należy Towarzystwo upiększenia miasta, które w zupełności celowi swemu odpowiada. Dodatnią działalność jego dostrzedz można na każdym niemal kroku. Obecnie ustawiono kosztem towarzystwa w prześlicznym parku miejskim popiersie ś. p. Mandla, zasłużonego burmistrza miasta. Popiersie to, wykonane przez lwowskiego rzeźbiarza Dykasa odznacza się uderzającem podobieństwem.

Ruch budowlany w mieście naszem wzmógł się w tym roku bardzo znacznie. Oprócz całego szeregu domów prywatnych buduje obecnie gmina szpital powszechny kosztem około 100.000 zł. Był to już najwyższy czas przystąpić do tej budowy, dotychczasowy bowiem szpital nie wytrzymuje żadnej krytyki. Równocześnie kosztem 120.000 zł., rozpoczęła budowę hotelu spółka budowlana, zawiązana staraniem Ordynata Tadeusza Czarkowskiego-Gołejewskiego, starosty Zawadzkiego, dyrektora banku Nikorowicza i mecenasa Głogiera. Spółka ta, zamierza w przyszłości wznieść kilkanaście domów, dzięki czemu niebawem ustaną utyskiwania na brak pomieszkań.

Ubiegłego tygodnia odbył się w sali magistratu popis uczenic szkoły muzycznej panny M. Ząbkiewiczówny. Licznie zebrana publiczność z zadowoleniem przekonała się, że dzięki niezmordowanej pracy nauczycielki, popisujące się uczenice mogą się pochlubić znacznym postępem.

W Szczawnicy bawi wedle ostatniej listy gości, 1328 osób.

Nowy sposób ogrzewania sal szkolnych zaprowadza obecnie gmina lwowska w szkole im. Mickiewicza, gdzie urządzone kaloryfery okazały się niepraktyczne. Miejsce kaloryferów zastąpią t. zw. „kalorystaty“ wynalazku inżyniera-mechanika Franciszka Rychnowskiego. „Kalorystat“ jest to przyrząd o budowie dosyć skomplikowanej. Ogrzewanie odbywa się tak samo jak w kaloryferach przez suche powietrze rozgrzane i rozprowadzone rurami. Korzystną cechą kalorystatu jest to, że raz w ruch wprawiony funkcyonuje przez 7 godzin bez potrzeby dozoru i obsługi, a dalej, że nie potrzeba do jego obsługi żadnego umiejętnego palacza. Kalorystaty pomysłu p. Rychnowskiego, patentowane w czerwcu 1896 r. znalazły już zastosowanie w cerkwiach w Rosyi i Rumunii, i wszędzie okazały się bardzo praktycznemi. W Galicyi znajduje się dotąd kalorystat jedynie w klasztorze i zakładzie wychowawczym SS. Niepokalanek w Nowym Sączu.

Czysty dochód z festynu urządzonego na placu powystawowym staraniem Towarzystwa imienia św. Salomei wynosi 647 złr. 22 ct. Komitet dziękuje za naszem pośrednictwem wszystkim, którzy swojem poparciem przyczynili się do powodzenia festynu, a zarazem przeprasza publiczność, iż nie zostały wykonane wszystkie numera zapowiedzianego programu. Stało się to z przyczyn zupełnie od komitetu niezależnych.

Morderstwo. Na Podolu rosyjskiem w pobliżu Bracławia o pół wiorsty od dworu napadli chłopi właściciela majątku Ikaźń Mieczysława Römera i zastrzelili go. Po strzale Römer miał jeszcze tyle siły, że dojechał do domu i tu umarł. Lekarz dr Narbutt z Bracławia przy opatrunku wyjął z rany 30 ziarn śrutu. Motywem zbrodni były zatargi śp. Römera z chłopami, którzy z zemsty za przegrany proces o grunta trzy razy podpalili mu dwór, oborę i karczmę. — Charakterystycznem jest, że władze miejscowe, złożone z Rosyan, nie wykryły były wcale podpalaczy.

Samobójstwo. W Złoczowie odebrał sobie życie wystrzałem z karabinu szeregowiec 11 pp. Franciszek Stocki.

Drzewa ludożercze. Amerykańskie pismo *Los Angelos Herald* podaje szczegóły o trzech najbardziej niebezpiecznych gatunkach drzewa, są to australijskie „drzewo ludożercze“ (cannibal tree), „drzewo śmierci“, rosnąca w południowej Afryce, i „drzewo dusiciel“ w Nowej Zelandyi.

Drzewo ludożercze ma postać olbrzymiej szyszki, której wysokość dochodzi 12 stóp.

Liście są podobne do liści agawy amerykańskiej i rosną w pękach: u małych drzew posiadają one 10 do 12 stóp, a u większych 15 do 20 stóp długości; są dość silne, aby unieść ciężar człowieka. Dawniej krajowcy nazywali je „drzewem dyabelskiem“ i przy pewnych uroczystościach poświęcali mu na ofiarę jednego z pomiędzy siebie. Skazanego na śmierć rzucano między liście, które natychmiast się zamykały, kurczyły i chwytały zdobycz. Drzewo dopóty trzymało ofiarę, dopóki nie pozostały z niej gołe kości.

„Drzewo śmierci“ należy do rodzaju roślin mięsożernych, kwitnie purpurowo, kwiaty jego przypominają naparstnicę; owoce mają olbrzymie haki, które przyczepiając się do przechodzących ludzi lub zwierząt, przenoszą na miejsce sprzyjające ich kiełkowaniu i wzrastaniu.

Sir John Lubbock powiada, że roślina ta może zabić nawet lwa.

„Drzewo pyton“, znane naturalistom pod nazwą „clusia“ ma nasiona zawierające miękisz, w którym bardzo gustują ptaki i dzięki temu zostają one roznoszone po gałęziach drzew, niebawem zaczynają kiełkować, liściaste źdźbło powoli wyrasta, korzenie zaś opuszczają się wzdłuż pnia, dopóki nie dosięgną ziemi. Odtąd rosną kapryśnie, czepiając się napotykanych na drodze przeszkód i zmieniając kierunek stosownie do okoliczności. Tymczasem z owych korzeni wyrastają łodygi i przebijają się ku górze przez płaszcz zieleni ku światłu, które niesłychanie przyspiesza ich rozwój.

Odgrywa się ciekawa metamorfoza. Delikatne dotąd korzonki coraz bardziej twardnieją, wypuszczają odgałęzienia i wkońcu cały pień drzewa zostaje w nie uwikłany. Od tej chwili rozpoczyna się walka na śmierć i życie pomiędzy olbrzymem leśnym a „clusią“ i drzewo usiłuje oswobodzić się od duszących je uścisków, ona zaś zacieśnia coraz bardziej swe sploty i powiększa ich liczbę. Wkońcu zdradziecko oplątany olbrzym ginie, a jego kat rozrasta się i zamienia w wielki krzak, mający za podporę gałęzie i pień swej ofiary.

Międzynarodowy hołd Rzymowi. Cała gwardya najwybitniejszych umysłów Europy stanęła w zwartym szeregu, ażeby, idąc za wezwaniem komitetu szlachetnych dam rzymskich, za pomocą datków literackich i artystycznych, stworzyć dzieło poświęcone czci Rzymu. Dzieło to, którego dochód przeznaczonym jest na cele humanitarne, nosi na wspaniałej okładce gustowny ozdobny napis „*Roma — carità e lavoro.* (Rzym — miłosierdzie i praca). Wnętrze zaś jego stanowi *Recueil artistique international* (Zbiór artystyczny międzynarodowy), który w rozmaitych językach całego świata iskrzy się błyskami ludzkiego ducha.

I tak stary Mommsen historyk rzymski, który ciałem będąc w Berlinie ciągle odbywa duchowe pielgrzymki do Rzymu, charakteryzuje tam treść naszego konającego stulecia. Czterowiersz jego w polskim przekładzie brzmiałby mniej więcej tak:

„Jak nudna, teatralna rzecz
To nasze jest stulecie
Dwa kroki naprzód a trzy wstecz
Sam Bóg się dziwi przecie“.

Marya Ebner-Eschenbach pisze: „Mówi się: W młodych latach — w dniach starości, bo młodość ma lata przed sobą, a starość tylko dni“. Sonnenthal czyni wyraźną aluzyę do ducha naturalizmu w literaturze, lubującego się w tem, co brzydkie: „Sama prawda może być nie piękną, ale prawda i piękno są prawdziwie pięknymi“. Edward Hanslik robi uwagę: „Geniusz rozpoczyna piękne dzieła ale tylko praca je kończy“.

Zola twierdzi: „Dzieło sztuki jest jednym kącikiem natury widzianym przez temperament“. Maks Nordau pisze: „Zła opinia po zerwaniu jest probierzem obłudy zerwanego stosunku. Nie odkrywa się bowiem potem niczego, przypomina się tylko“. Mantegazza mówi bardzo pięknie: „Tylko miłość macierzyńska powtarza cud biblijny o rozmnażaniu chlebów i ryb, gdyż spływając na głowę kilkorga dzieci, dzieli się coraz bardziej ale się nie zmiejsza, owszem czyni się różnorodniejszą, mnoży się“. Dyrektor akademii berlińskiej Werner pisze: „Państwowa opieka nad sztuką nie może mieć innego zadania, jak opiekę nad utrzymaniem myśli piękna“. Rzeźbiarz Reinhold Begas: „Wielki artysta nie jest nigdy wielkim mówcą. Najlepszemi jego mowami są najlepsze jego dzieła“.

Oprócz wymienionych uwiecznili w tej księdze swe imiona angielski poeta laureatus Afred Austin, francuscy eksministrowie Olivier i Berthelot, hrabia Nigra, hrabina Caetani-Lovatelli, Bourget, Coppée, D'Anunzzio, Ibsen, Daudet, Doczi, Failleron, Gyp, Giacosa, Anatol France, De Amicis, Marcel Prevost, Saar, Verga, Wilbrandt. I świat malarski reprezentowanym jest przez znakomite nazwiska jak: Lenbach, Angeli, Benczus, Bonnat Pausinger, Alma Tadema. Muzycznymi datkami zasilili księgę: Jan Strauss, Ignacy Brüll, Paderewski, Tosti, Massenet i Zygfryd Wagner. Nie brak też i znakomitych artystek dramatycznych, jak: Ristori i Sarah Bernhard.

Dziedziczność w apopleksyi. W przeciągu trzech dni umarli dwaj bracia hrabiowie Choryńscy. Jeden z nich Karol hr. Chorynsky, prezydent wyższego sądu w Wiedniu, umarł w ubiegłym tygodniu w Hinterbrühl, a w trzy dni po nim umarł w Lublanie brat jego Rudolf, pensyonowany radzca dworu. Niezwykłem jest to, że obaj bracia umarli skutkiem ataku apoplektycznego.

Monarszy lekarz. Arcyksiążę Teodor bawarski jest, jak wiadomo, okulistą i dyrektorem kliniki okulistycznej w Monachium. Niebawem więc po skaleczeniu w oko, jakiego doznał cesarz Wilhelm na statku, pojechał ks. bawarski do Bergen w Norwegii, aby obejrzeć oko cesarza Wilhelma i skontrolować twierdzenia jego przybocznego lekarza. Tymi dniami dotarł na osobnym yachcie do okrętu cesarza Wilhelma i orzekł, że cesarzowi Wilhelmowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

Pielgrzymka muzyków i literatów. Z Nowego Jorku wyruszyła dnia 26 zm. do Europy pielgrzymka złożona z muzyków i literatów, pod przewodnictwem pisarza muzycznego Laudera, celem zwiedzenia miejscowości urodzenia i grobów słynnych mężów, jak: Chopina, Wagnera, Liszta, Beethovena, Mozarta, Schuberta, Mendelssohna, Szekspira, Cherubiniego, Torkwata, Tassa i wielu innych. Powrót nastąpi dnia 24 sierpnia rb.

Jawność hipoteczną praktykowali Grecy w rozmiarach, któ e nam, dziś żyjącym, wydałyby się zapewne... żenującemi. Wiadomość o pożyczce, na dom zaciągniętej, ryto na kamieniu, we froncie domu, od ulicy; niekiedy służył do tegoż celu odłam skały, przed domem przypadkowo leżący, lub inny podobny materyał. W miarę spłaty, zmieniano cyfrę długu: wyskrobywano dawną, ryto nową. Podobnym zmianom ulegały nazwiska wierzycieli, jeśli jeden wstępował w prawa drugiego. Napisy takie spotykać można w Atenach dotychczas... Dr. Eugeniusz Ziebarth z Getyngi studyował szczegółowo ten przedmiot i wyniki swoich badań ogłosił w ostatnim zeszycie protokołów berlińskiej akademii umiejętności.

Mieszkania dla robotników. Towarzystwo tanich mieszkań dla robotników, zawiązane niedawno w Krakowie, nabyło w tych dniach za 45.080 zł. nieruchomość obejmującą zabudowania mieszkalne i trzy morgi gruntu na terytoryum wsi Krowodrzy, ale w obrębie rogatek miejskich. Nieruchomość ta, zwana „Modrzejówką“, była niegdyś własnością p. Heleny Modrzejewskiej, dla której brat jej przyrodni budowniczy śp. Opid zbudował tam pałacyk z wielką salą koncertową, właściwie na próby przedstawień teatralnych przeznaczoną. Sala ta w przyszłości będzie służyła na czytelnię dla robotników w godzinach wieczornych, a w dzień będzie salą zabaw dla dzieci nieuczęszczających jeszcze do szkół ludowych. „Modrzejówka“ na cele Towarzystwa tanich mieszkań nadaje się jeszcze i z tego względu, że przepływająca przez jej grunta Rudawa da możność przygotowania tanich lub bezpłatnych kąpieli ludowych. Budowa domów mieszkalnych na nabytym obszarze rozpocznie się w roku przyszłym, w zimie jednak już mają być gotowe plany i zwożony będzie materyał budowlany.

Zmarli. We Wiedniu dr. Franciszek Pawlikowski, emer. lekarz sztabowy, w 60 r. życia. We Lwowie Karol Bastgen, zastępca prawny w dobrach kurowieckich hr. Romana Potockiego, w 77 r. życia Józef Czarnecki, żołnierz wojsk polskich z r 1831, w 89 r życia.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano + 18, w poł. + 22 R., Bar. 760. Nieruchomy. Pogoda.

Dobre dzieci. Rzecz dzieje się w redakcyi. Młody, początkujący poeta przychodzi się dowiedzieć o los złożonych rękopisów.

— A zatem, panie redaktorze, co pan sądzi o tej dziatwie mojej Muzy?

— Co sądzę? A no, dobra dziatwa i dla tego nie opuści pana, powróci do taty..

Myśli.

Świat dziś tak zubożał, że już wiele nie ma nawet swojego zdania.

Nie los jest ślepy, ale ten, co do niego mierzy, a nie trafi.

Łatwiej dociec, kto jest większy mędrzec, niż kto jest większy głupiec — i to wielu cieszyć powinno.

Osobliwa rzecz: kto choruje na pragnienie, ten z głodu umiera.

LITERATURA I SZTUKA.

* **Aleksander Mańkowski.** „Moja Helenka“. Powieść współczesna. Petersburg. Nakład Grendyszyńskiego. 1897.

Ta najnowsza praca pana Mańkowskiego posiada te same zalety, co i poprzednie, a zaletami temi są w pierwszym rzędzie: sprawiedliwość sądu tak rzadko spotykana w obecnej literaturze i silniejsze pojawianie się zmysłu obserwacyjnego, niż u innych powieściopisarzy. Pan Mańkowski mówi gorzkie prawdy towarzystwu, do którego należy i w którem żyje: szlachcie, a z małostkowości mieszczan i dorobkiewiczów śmieje się pogodnie, bez zgryźliwości, tak jak na to właśnie ta małostkowość zasługuje. Nie chodzi mu nigdy o satyrę lub o humorystyczne efekta — on chciałby tylko, aby opisywane przez niego warstwy społeczne, czytając opis wad swoich, zobaczyły je wyraźnie, jak w zwierciadle i wyrzekły się ich na zawsze. Przedstawieniem charakteru Helenki ironizuje autor bezduszne, o swojej tylko korzyści marzące reprezentantki zbankrutowanej szlachty. Helenka, w której wychowaniu więcej zwracano uwagi, aby była „dobrze“ w salonie, niż aby jej myśl i dusza były odpowiednio rozwinięte, dorósłszy, marzy tylko, aby jaki paniczyk mający stosunki z pierwszemi rodzinami w kraju dał się uwikłać w jej sidła i aby ona kiedyś w zachwyt wprawiała Warszawę ekwipażami swego bogatego małżonka. Niestety bogaci panicze chętnie emablowali ładną i zalotną pannę, lecz o rękę córki zbankrutowanego pana nikt się nie pokusił. Od staropanieństwa i nędzy materyalnej uratował Helenkę Marcin Szaracki, który ją od czasów studenckich serdecznie kochał. Jest to typ pracowitego, roztropnego szlachcica, dorabiającego się majątku uczciwą pracą. Otacza on swoją żonę najtkliwszą miłością, każdą myśl odgaduje, każde zachcenie spełnia, rodzicom jej zapewnia utrzymanie. Ale to wszystko nie budzi w sercu Helenki przywiązania — nie rodzi wdzięczności. Marzy ona zupełnie o czem innem, o czemś niezwykłem, o znalezieniu się bodaj raz w sytuacyi powieściowej, które ją zawsze w zachwyt wprawiały. To też kiedy we Włoszech, dokąd wywiózł ją mąż dla poratowania zdrowia (choć właściwie zdrową była), poznała jakiegoś księcia, porzuciła swego zacnego męża bez najmniejszego skrupułu.

Był to cios straszny dla Szarackiego, cios, który go przygarbił, przygniótł i w ciągu kilku tygodni starcem uczynił. Nie przeklinał jej jednak, nie potępiał — owszem, o ile możności przed złymi językami chronił. Oddał się zupełnie pracy na ojczystym zagonie i wychowaniu dwojga dziatek. Po dwu latach wróciła do kraju p. Szaracka, upokorzona, wzgardzona, po różnych gorzkich przejściach i rozczarowaniach. Wróciła do rodziców, ale kiedy p. Marcin dowiedział się, że jest chora i że jej zbywa na wygodach, pojechał sam do niej, do domu zabrał, a krzywdę wyrządzoną sobie nietylko przebaczył, ale nawet usiłował o niej zapomnieć...

Znakomicie nakreślone są sylwetki rodziców Helenki, które przyczyniają się do uwydatnienia charakteru samej bohaterki. Ten „papa“, nadający sobie ton złem wymawianiem litery *r* i „mama“, pokrywająca brak inteligencyi bardzo wygodnym frazesem „nie rozumiem, expliquez-vous“ są niezrównani. Dla kontrastu z temi śmiesznemi figurami wplótł autor w opowieść sympatyczną postać „pana z panów“ hrabiego Roksolskiego i jego zacną małżonkę, którzy w każdym nawet nietytułowanym bliźnim widzą człowieka i którzy tylko dobro drugich mają na oku.

Całość jest wielce interesująca, z konsekwentnie przeprowadzoną myślą przewodnią, a jako taka jest dobrym nabytkiem dla literatury.

Kronika muzyczna.

P. Robert Poselt, skrzypek, który z ogromnem powodzeniem występował kilkakrotnie w Paryżu, gdzie prasa przyznała mu wybitne stanowisko w świecie artystycznym, udał się na turnée koncertową po miastach kąpielowych.

W pałacu kryształowym w Londynie rozpoczyna się w bieżącym miesiącu 40 ty doroczny *festival* Händlowski. Z uczestników pierwszego festiwalu żyje dotąd tenor Reeves i 80-letnia sopranistka Klara Novello.

Nadworny kapelmistrz Rebicek z Wiesbadenu został powołany na dyrygenta orkiestry filharmonicznej na miejsce Mannstaedta do Berlina, a dyrektor koncertowy Karol Prill z Lipska do nadwornej opery w Wiedniu, gdzie równocześnie obejmie posadę profesora w tamtejszem konserwatoryum.

Humperdinck, autor „Jasia i Małgosi“, pracuje obecnie nad wielką kompozycyą symfoniczną, która ma być wykonaną na festivalu muzycznym w Leeds.

Teatr nadworny w Dreznie wystawił nową operę A. Rückaufa „Die Rosenthalerin“, osnutą na tle stosunków małomieszczańskich w Norymberdze za czasów malarza Albrechta Dürera. Muzyka, którą cechuje bogactwo melodyi i zręczna instrumentacya, miała wielkie powodzenie.

Artur Nikisch, dyrygent orkiestry w Gewandhauzie w Lipsku, który w b. r. dyrygował koncertami w Warszawie, a orkiestrą berlińskich filharmoników w Paryżu, jest z urodzenia Węgrem, kształcił się w konserwatoryum wiedeńskiem, po ukończeniu studyów rozpoczął karyerę dyrygencką w teatrze lipskim; stąd udał się do Ameryki, powołany na kapelmistrza koncertów filharmonicznych w Bostonie. Wróciwszy do Europy został dyrektorem orkiestry teatru narodnego w Budapeszcie, wkrótce jednak porzucił to miejsce dla pozyskania zaszczytnego stanowiska dyrektora koncertów w Gewandhauzie w Lipsku, na miejsce Reineckego. Z Lipska udaje się Nikisch w sezonie zimowym dwa razy na miesiąc do Berlina dla dyrygowania orkiestrą filharmoników. Nikisch jest doskonałym solistą skrzypkiem i pianistą, muzykalnie jest wszechstronnie i gruntownie wykształcony i dyryguje z pamięci.

We Wiedniu zawiązało się stowarzyszenie „Hugo Wolf“ dla popierania i rozpowszechnienia utworów tego kompozytora. Stowarzyszenie takie istnieje w Berlinie, a zwolennicy Wolfa zamyślają podobne stowarzyszenie we wszystkich miastach niemieckich założyć na wzór towarzystw Wagnera, które tak świetne rezultaty wydały.

Mieszkańcy miasteczka Longjumeau unieśmiertelnionego operą Adama, postawili z wdzięczności zmarłemu kompozytorowi pomnik na cmentarzu. Wzniesiony jest z marmuru, a przedstawia młodziutkiego pocztyliona, bohatera opery Adama, wieńczącego popiersie kompozytora. Z okazyi postawienia tego pomnika ma się odbyć w Longjumeau festival muzyczny.

W londyńskim teatrze „Covent-Garden“ wystawiono niedawno operę, która ogromne zaciekawienie wywołała w tamtejszych sferach muzykalnych. Kompozytorem tej opery jest p. F. Erlanger, który jednak ukrywa się pod pseudonimem Fryderyka Regnal.

Treść opery zaczerpnięta z Prospera Merimée jest następująca: Do córki skromnego obywatela Inez Mendo zapałał namiętną miłością przedstawiciel arystokracyi miejscowej, książę Salvator Mendoza. Stary książę godzi się na ten związek, ojciec jednak Inez nie chce udzielić swego pozwolenia, ciąży bowiem na nim straszne przeznaczenie. Oto w rodzinie jego godność kata jest dziedziczną, on usunął się od niej przez ucieczkę, każdej chwili jednak może być poznany i powrócić będzie musiał do wstrętnego rzemiosła. O względy Inez stara się również młody kapitan, zostaje jednak przez szczęśliwszego konkurenta (Salvatora) w pojedynku zabity. Według praw obowiązujących w Hiszpanii w XVII w. czeka Salvadora śmierć. W ucieczce przed pogonią ukrywa się w mieszkaniu Inez i tu jest mimowolnym świadkiem opowiadania, w którem ojciec odkrywa jej straszną tajemnicę. Wiadomość ta nie zmienia jednak jego miłości. W końcu zostaje odkryty i skazany na śmierć, a aktu tego dopełnić ma ojciec Inez. Do tego jednak nie dochodzi, kat bowiem, zamiast ściąć głowę skazanemu, sam się zabija toporem. W tej chwili zjawia się poseł królewski i przynosi Salvadorowi ułaskawienie.

Muzyka zbliża się więcej do francuskiej, aniżeli do wagnerowskiej. Najlepiej udała się muzyka aktu pierwszego, pełna lekkości, świeżości i melodyjności. Najefektowniejszym jest akt trzeci, odgrywający się w więzieniu. Scena pożegnania dwojga kochanków przy akompaniamencie dolatującego z sąsiedniego kościoła „dies irae“ pełna jest ekspresyi dramatycznej.

Nowej kompozycyi wróżą znawcy wielkie powodzenie.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 19 lipca.

(Z) Nowy tydzień przyniósł dość znaczną haussę i to nie tylko na targu walorów lokalnych, lecz także w walorach międzynarodowych. Zwracało to uwagę tem większą, że — jak wiadomo — ostatniemi czasy walory lokalne absorbowały w zupełności naszych spekulantów. Swoją drogą i te papiery miały dziś zwolenników, w alpinach, akcyach tramwajowych i akcyach przedsiębiorstw elektrycznych robiono dość znaczne transakcye, ale robiono je także w walorach tureckich i akcyach bankowych.

Na wczorajsze niepomyślne depesze nie zwracano dziś żadnej uwagi, gdyż w Berlinie mówiono, że wszystkie przeszkody, stojące na drodze zawarcia pokoju, można już uważać jako usunięte. Berlin też głównie parł dziś ku zwyżce. Tylko kolejowe walory i dziś były na szarym końcu a kurs ich znów się obniżył.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 369·50, węgierskie 396·75, Anglobanki 162·—, Uniony 298·75, Bankvereiny 258·25, Länderbanki 241·—, Ludwiki 216·—, Czerniowieckie 285·—, Elbethale 259·—, Renta papierowa 102·15, srebrna 102·25, austryacka złota 123·35, austr. renta wal. kor. 101·25, węgierska złota 122·75, węgierska renta wal. kor. 100·20, dukat 5·65, 20-frankówka 9·51½, marki 11.73—, ruble 1.26½.

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 19 lipca. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 1246, węgierskich 3684 i niemieckich 643, razem 5573 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 29 do 30, dobre ciężkie 31 do 32, osobliwe prima 33 do 34, wyjątkowo 35 zł., za buhaje i krowy 20 do 30 zł., wszystko na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, Wassergasse 23.

§ **Z targu zbożowego na Kleparzu.**

Kraków 20 lipca.

Z powodu ciągłej zwyżki na targach wiedeńskich i peszteńskich poszła i u nas cena pszenicy w górę, obrotów jednak odbywa się bardzo mało. Producenci chcą bowiem wyzyskać sytuacyę, wynikłą z braku pszenicy i stawiają ceny wygórowane, młyny zaś nie chcą robić wobec tego zapasów i kupują jedynie tyle, ile potrzeba na pokrycie chwilowej potrzeby. Pomimo tego cena pszenicy podniosła się na dzisiejszym targu o 20 ct., reszta zaś produktów utrzymała się bez zmiany.

Płacono: pszenicę białą 9·10—9·70, czerwoną 9·30—9·80, żółtą 9·30—9·80; żyto 6·60 do 6·95, jęczmień browarny 6.20—6·80, na paszę 5·80—6·10, owies 6·90—7·20; rzepak —.— do —.—, konicz czerwony —.— do —.—, biały —.— do —.— zł. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

Telegramy „Przeglądu“.

Peszt 21 lipca. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu ukończono nareszcie debatę jeneralną nad ustawą o premiach od wywozu cukru. Przebieg posiedzenia wczorajszego był wyjątkowo spokojny, co dało powód do pogłosek, iż zanosi się na kompromis między rządem a opozycyą i że ta ostatnia zaniecha obstrukcyi. Mówią, że rząd zgodzi się na to, aby §. 16-ty ustawy wprowadzonej do procedury karnej, będący głównym powodem obstrukcyi, odesłany został napowrót do komisyi.

Paryż 21 lipca. Parlament przyjął 516 głosami przeciw 7 projekt ustawy o podatkach bezpośrednich. Uchwalono także kredyt 7 milionów na cele marynarki i 8 milionów na urządzenie loteryi, z której dochód użyty będzie na wsparcie dla ludności nawiedzonej po wodzią, poczem zamknięto sesyę obu izb prawodawczych.

Ateny 21 lipca. Wedle ostatnich wersyi nowa granica strategiczna przechodzić będzie koło jeziora Nezero i obejmować będzie okolice Nezero i Analipsis. Miejscowość Gricowali odstąpiona ma być Turcyi. Rząd włoski zaproponował mocarstwom, aby w razie dalszego oporu Turcyi użyto środków przymusowych.

Z Tesalii donoszą o kilku starciach między Turkami a powstańcami.

Madryt 21 lipca. Groźne zaburzenia wybuchły w Barcelonie. Tłum stawił opór żandarmom i rzucał na nich kamieniami. Wysłano posiłki wojskowe do Barcelony.

Paryż 21 lipca. Członkowie komisyi parlamentarnej śledczej dla sprawy panamskiej postanowili nie jechać do Bournemout, gdzie przebywa Korneliusz Herz, gdyż Herz poczynienie rewelacyi czyni zależnem od warunków, których niepodobna brać na seryo.

HOTEL IMPERIAL

pierwszorzędny hotel, restauracya i kawiarnia.

Lwów — ulica Trzeciego Maja.

Przyjechali dnia 21 lipca. J. i L. hr. Mniszek ze Lwowa. Dyr. Binder z Krakowa. Henryk Werners z Kolonii. Karol Skalak z Rzeszowa. Józef Tausche z Pragi. Stefan Sękowski z Woysławia. Fr. Szaszewski z Dobromila. M. Polański z Czernichowa. Wł. Struszkiewicz z Wiednia. Fr. Reichl z Drezna.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 21 lipca. G. Łempicka z Hołego. St. hr. Badeni z Branic. B. Rosenstock z Czernawki. St. Wołkowicki z Tarnowa. O. Baborski z Żerebek. J. Szumpeter z Buska. A. Przedrzymirski z Woli małnowskiej. J. Nowakowski z Wołynia. S. Czambel z Pesztu.

HOTEL EUROPEJSKI.

ALBERT SZKOWRON.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 11 lipca. Hrabia Krusenstern z Niemirowa. Wł. Wachal z Chorkówki. B. Osuchowski z Bieniawy. A. Stocek z Berna. F. Czemcz z Węgier. M. Rosenzweig z Wiednia. W. Sokołowski z Poznania. Fr. Stanek z Wiszenki. A. Koch z Wiednia. Ks. Lewiński z Rakszawy. Fr. Rump z Krakowa. J. Durst z Brzeżan.

HOTELE K. JANOWICZA

BELLEVUE i METROPOL

we Lwowie.

Przyjechali dnia 21 lipca. M. Chmura z Skałatu. S. Sobotowski z Przemyśla. M. Paszkowski z Rosyi. M. Kurz z Mikuliniec. N. Braff z Brodów. J. Mikulin z Krakowa. J. Krauss z Tarnobrzegu. G. Endt z Zagórzan. F. Pytleuck z Budapesztu. Ks. Karpiński z Podhorzec. T. Zegzda z Tarnopola. A. Kozakiewicz z Kołomyi. L. Zrygiewicz z Tarnowa. A. Gonet z Sambora.

HOTEL FRANCUSKI

we Lwowie, plac Maryacki

W nowym Zarządzie, zupełnie odnowiony

(F. C. Proksch)

Przyjechali dnia 21 lipca. P. Merlowa i N. Garlicka z Brzeżan. Ks Andrzejowski z Starego Sioła. Br. Gerrard z Budapesztu. J. Zabłocki z Żółkwi. F. Muszyński z Krakowa. K. Dumański z Podola. J. Pentek. Z. Kalman, A. Lunda, K. Scholz, K. Fleischer i A. Linchard z Wiednia. B. Piechowicz z Kołomyi. T. Kolarz z Morawy. W. Krzyżanowski z Liska.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 20 lipca. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215.— do 218.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 283 — do 287.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 380 — do 390.—. Akc garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.30 do 111.—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— do 100.70 4 pr. los. w 60 lat 96.70 do 97.40. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 100.50 do 101.20. Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50 4 proc. los. w 43 i pół latach 97·60 do 98.30 4 proc. los. w 56 lat 97.20 do 97.90

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc 98.— do 98.70, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.75 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 100·20 do 100.90 Kolejowe lokalne Banku krajowego 4% po 200 koron 96.50 do 97.20. Pożyczki kraj. 6 proc. 103.— do —.—, 4 i pół proc. —.— do —.—, 4 proc. z r. 1891 97.80 do 98.50, 4 proc. po 200 koron z roku 1893 96.70 do 97.40.

Monety. Dukat cesarski 5.60 do 5.70. Napoleondor 9.47 do 9.57. Półimperyał 9.48 do 9.58 Rubel rosyjski papierowy 1.26 do 1.27 100 marek niemieckich 58.45 do 58.95

Wiedeń 20 lipca. Notowania wieczorne. Przy zamknięciu giełdy popołudniowej stały akcye kredytowe na 369·75, węgierskie akcye kredytowe 396.00, anglobanku 164·25, związku bankow. 258.50, unionbanku 299.50, länderbanku 242.00, kolei państwowych 346·25, lombardów 85·50, kolei nadłabskiej 259.00, akcye tytoniowe 162.00, rima 252·00, alpiny 138·00, renta majowa 102·15, renta koronowa węgierska 100.25, losy tureckie 65.50, marki 58·68, ruble 126.—.

36)

KTO WINIEN?

Powieść

przez

E. BRADDON.

Tłómaczyła z angielskiego baronowa Zofia Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— Nie ma wiele do opowiedzenia, milady — odparła dzierżawczyni, gładząc czarny jedwabny fartuszek i siadając z ceremonialną sztywnością na samym brzeżku wskazanego krzesła. — Myśleliśmy, że będziemy mieli pogrzeb jeszcze przed Bożem Narodzeniem, bo duszność okropnie już dokuczała staremu Briarwoodowi; ale jakoś się wydźwignął biedaczysko, i nie dziwiłabym się, żeby dotrwał do marca. Żyjemy w takim zakątku i tak mało mamy sąsiadów, że człowiek ledwie wie, co się w świecie dzieje. Ostatnimi czasy o niczem nie mówiono, tylko o tym procesie o morderstwo w Highclere.

Fanny chciała jej przerwać, ale Morton położył palec na ustach, na znak, aby jej dała mówić.

— Czy tak? — rzekł zachęcająco. — Więc sąsiedzi pani interesują się tą sprawą?

— Bardzo nawet... I cóż dziwnego? To taka niezwykła rzecz, żeby człowiek sam oskarżał się po dwudziestu latach. Mój mąż był na posiedzeniu sądowem i opowiadał, że słychać było nieledwie, jak szpilka w sali upadła, tak wszyscy z powstrzymanym oddechem słuchali, gdy adwokat z Londynu badał sir Everarda Courtenaya o jego nieboszczkę żonę... zupełnie jakby to był zwyczajny robotnik, a nie jeden z pierwszych panów w okolicy. Ci prawnicy nie powinni sobie pozwalać na takie nadużycia. To się nie godziło wywoływać nazwiska tej biednej pani, która już od tylu lat spoczywa w grobie.

— Mówisz pani, jakbyś bardzo interesowała się osobą lady Courtenay — rzekł Morton, chwytając chciwie każdy jej wyraz. — Czy znałaś ją?

— Nie, sir; ale widziałam ją raz w dzień targowy, gdy przejeżdżała przez Highclere. Śliczna była pani, ale taka wątła i delikatna, jakby nie do tego życia stworzona. Dawniej dużo słyszałam o niej, gdy sama byłam młodą, o ona była jeszcze miss Alicyą Bothney; bo mój ojciec miał sklep w Templewood w bliskości rezydencyi lorda Jerzego Bothneya, a moja krewna Łucya Stevens służyła we dworze jako pokojowa do wszystkich trzech panien. Ciężką miała służbę, bo milord nie był bogatym i trzymał tylko tyle służby, ile było koniecznie potrzeba. Miss Alicya tak polubiła Łucyę, że gdy wyszła za mąż za sir Everarda Courteneya, nie dała sobie wyperswadować, tylko uparła się, aby ją zabrać z sobą za granicę jako pannę służącą, w którymto charakterze już pozostawała przy niej aż do samej śmierci, która nastąpiła w rok po ślubie, tejże samej nocy, co pan Blake został zamordowany. A, co to za straszna noc była dla całej wioski, gdy kościelny dzwon pogrzebowy zabrzmiał o samej północy; a że powietrze było czyste i mroźne, więc słychać go było na parę mil dokoła, tak iż starcy i dzieci wystraszeni wyskakiwali z łóżek, myśląc, że to koniec świata i że sądny dzień nastał dla grzeszników.

Mistress Dawley, korzystając z niezwykłej chwili wypoczynku w dzień roboczy, rozpływała się nad temi żałobnemi wspomnieniami, które snadź silnie utkwiły w jej pamięci, a Morton zapytał:

— Czy krewna pani żyje?

— Żyje, proszę wielmożnego pana; ale takie to i życie... Słabszej bardziej istoty ze świecą poszukać. A taka to była żywa, wesoła dziewczyna dawniej, gdy mieszkała w Templewood. Ale po śmierci lady Courtenay nie mogła nigdzie zagrzać miejsca, jak ten żyd wieczny tułacz; i w trzydziestu trzech latach, gdy przecież powinna była mieć lepszy rozum w głowie, wyszła za młodego chłopaka z kapeli i teraz oboje tylko że nie umierają z głodu na jednej z porządnych ulic w Avonmore. On utrzymuje jakiś sklepik z instrumentami muzycznymi, stroi fortepiany, jak mu się jaki trafi, i grywa na pistonie na koncertach i balach, a nawet czasem w cyrku; ona zaś trochę zarabia igłą. I mieliby z czego żyć we dwoje, tylko że on strasznie lubi hulać i trwonić grosz. Mój poczciwy stary pozwala mi czasem posłać biednej Łucyi trochę prowiantów i zdaje mi się, że to jedyna sposobność, jaka im się trafia zjedzenia porządnej galarety z wieprzowych nóg lub tuczonego kapłona.

— Jakże się ten pan muzyk nazywa? — zapytał grzecznie Morton, jakby jedynie w celu podtrzymania rozmowy.

Fanny tymczasem popadała w stan półsenny i siedziała nieruchoma, bezmyślnie wpatrzona w ogień.

— Nazywa się Green, proszę wielmożnego pana. Karol Churchill Green, choć w mojem przekonaniu, tyle on ma prawa do nazwiska Churchill, co ja do Nabuchodonozora — odparła mistress Dawley, ożywiając się coraz bardziej. — Okropnie zarozumiały o sobie. Jak mój stary dowcipnie mówi, możnaby grube pieniądze zarobić, kupując go po swojej cenie, a sprzedając po jego. Gdy się ożenił z naszą Łucyą, to dowodził, że ojciec jego był szlachcicem, mającym posiadłość w Londynie, a potem się okazało, że miał tylko budę z tandetą w Lambeth i że już trzy razy zbankrutował. Jakie on sobie nadaje tony, ten Churchill, na mocy swojej cienkiej figurki, wązkiej stopy i jakiego takiego talentu do muzyki, no!.. no!... Tylko podziwiać... A taki lekkoduch, taki pustak i pędziwiatr, że biedna Łucya prawdziwie męczeńskie życie ma z nim. Ale jak mój stary mądrze mówi: Jak kto sobie pościele, tak się i wyśpi.

— A czy kuzynka pani odwiedza ją niekiedy tutaj?

— Gdzie tam! Nie była ani razu od wyjścia za mąż. Przedewszystkiem, żeby odjechała swego Greena na tydzień czy dwa, toby wypłakała oczy z niepokoju, czy nie ucieknie tymczasem z jaką hrabiną, bo wyobraża sobie, że nie ma na świecie drugiego takiego, jak on, i że największe panie z Avonmoru gotowe są zakochać się w nim na zabój. Powtóre i ja ją nie bardzo zapraszam, bo Dawley nie lubi takich płaczliwych istot dokoła siebie, a biedna Łucya ciągle tylko lamentuje i narzeka od dnia swego ślubu. Moim obowiązkiem jest dogadzać memu poczciwcowi, choć jestem pewna, żeby wiejskie, zdrowe powietrze i dostatnie życie wpłynęło dobrze na tę biedaczkę. Od czasu do czasu, kiedy mam wolny dzień, a konie fornalskie nie są u pługa, to jadę do niej do Avonmoru wypić filiżankę herbaty i wysłuchać jej żalów i narzekań; to jej ulgę przynosi, gdy się wypłacze przedemną.

— Co to znaczy, że powozu dotąd nie ma? — rzekła Fanny, którą cała ta rozmowa nic nie interesowała. — Brooks przez półtorej godziny musiał zajechać do domu, chyba, że jak ślimak pełzał po drodze. Jeżeli moja amazonka podeschła trochę, to chciałabym się przebrać.

— Powiesiłam ją tuż przy piecu, milady, ale obawiam się, że jeszcze nie prędko wyjdzie z niej wilgoć — odparła mistress Dawley.

— Może twoja służba będzie na tyle sprytną, że ci przyśle coś z ubrania — odparł Morton. — Brooks widział przecie, żeś wpadła do wody.

— To prawda; może się domyślą... W takim razie amazonkę zapakuję i zabiorę z sobą. Cóż za sromotne zakończenie sromotnego dnia!

— Raz w życiu możesz zaznać niepowodzenia po takiej długiej karyerze nieprzerwanych tryumfów.

— Marne tryumfy!.. nie chlubne wawrzyny!.. — rozśmiała się lady Fanny wpół smutnie, wpół ironicznie.

W tejże chwili jednak zerwała się z fotelu i poskoczyła do okna, słysząc turkot kół powozowych na drodze.

— Oto jest i mój „brougham“, i co widzę?.. Moja poczciwa, stara Moulty... A teraz, Mortonie, skończyła się twoja opieka. Możesz siadać na koń i jechać. Mam nadzieję, że nie znienawidzisz mnie za to, że przeze mnie zmarnowałeś sobie tak haniebnie dzień cały.

— Nigdy w życiu mniej nie zmarnowałem dnia, niż dzisiaj — poważnie odparł Morton.

— Jakże ty to uroczyście mówisz! Bardzo to pochlebnie dla mnie i dla mistress Dawley; szczególniej dla niej, bo się cały czas zabawiała rozmową. Oto i miss Moulton, z całą torbą rzeczy. Biegnę na górę przebrać się.

Skoczyła żywo ku drzwiom i nieomal wpadła w ramiona otyłej, średnich lat kobiety, która przybyła przed jedenastu laty do Blatchmardean, jako nauczycielka lady Fanny i pozostała odtąd przy niej w charakterze doradczyni, towarzyszki i przyjaciółki zarazem. Sumiennie pracowała nad swoją pupilką, póki ta przystawała na to, usiłując wypełnić umysł jej wszelkiego rodzaju wiedzą, ale starania jej okazały się zupełnie daremnemi; śliczna dziewczyna bowiem niczego nie nauczyła się od swojej guwernantki, prócz miłości i szacunku dla jej zacnej osoby.

— Kochana staruszko moja! — zawołała, ściskając ją czule. — Jakaś ty poczciwa, żeś przyjechała! Chodź ze mną na górę. Opowiem ci moje przygody.

— Mój aniołku!,. mówili mi, żeś się o mało co nie utopiła!..

— Użyłam tylko chlapaniny, kochanie... jak kaczka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskiai w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka Hotel Żorża. Zarządca W. Hodak.